
DESZCZ
—EARLY DRAFT—

THIS WORK IS LICENSED UNDER THE
CREATIVE COMMONS ATTRIBUTION-NONCOMMERCIAL 4.0 INTERNATIONAL
LICENSE.

TO VIEW A COPY OF THIS LICENSE, VISIT
[HTTP://CREATIVECOMMONS.ORG /LICENSES/BY-NC/4.0/](http://creativecommons.org/licenses/by-nc/4.0/).



WRITTEN BY MAREK KORZENIOWSKI

Prolog

W pewnym miejscu w pewnym świecie istniał pewien klif. Od czasu do czasu leniwie uderzany morskimi falami trwał w swoim dumnym bezruchu, całkowicie ignorując otaczającą go rzeczywistość. Gdyby jednak świat go zainteresował, to dowiedziałby się o pewnej młodej kobiecie stojącej na jego skraju. Ona, w przeciwieństwie do klifu, interesowała się światem. Choć ani klif, ani ona tego zauważyć nie mogli, srebrzysta poświata księżyca cudnie oświeślała jej długie czarne włosy. Bosa, odziana w prostą szarą suknię, wpatrywała się w szalejący na dole żywioł. Wzdychając, zamknęła oczy i pochyliła się, lecz o czym byłaby ta historia, gdyby nie zdarzyło się coś nieoczekiwanego? Coś znacznie ciekawszego od młodej kobiety skaczącej nocą z klifu. Tak też w pogrążonej w mroku głowie rozbrzmiał cichy, ciepły głos. Chaotycznie rozproszone słowa ułożyły się w zdania i umysł, choć zdziwiony, posłusznie przełożył ich znaczenie.

— Poczekaj. Wysłuchaj mych słów. Nie skacz jeszcze. Wstrzymaj się – poszczególne sylaby rozbrzmiewały jak rozbłyśki światła, raniące przyzwyczajone do mroku oczy – chcę twoje ciało. Ty go już nie chcesz. Oddaj mi je. Co ci za różnica? Po co niszczyć takie dobre ciało.

Kobieta zamarła w bezruchu. Powoli wyprostowała się i wykonała krok do tyłu.

— Kim jesteś! – krzyknęła i choć jej głos został pochłonięty przez pustkę nocy, usłyszała odpowiedź.

— Co za różnica? – słowa wibrowały w jej głowie – jestem kimś, kto nigdy nie miał ciała. Chcę ciało. Ty masz ciało. Właśnie miałaś zamiar je zniszczyć. Proszę cię, daj mi je.

— A co się stanie ze mną? – krzyknęła ponownie.

— Przestaniesz istnieć.

Kobieta obróciła się i spojrzała za siebie, wpatrując się w otaczającą ją pustkę. Jej rozgorączkowany umysł wychwycił krótki rozbłysek światła. Odległa pochodnia dzielnie walczyła z mrokiem nocy.

— Zgadzam się! – krzyknęła przerażona – Zgadzam się, zgadzam się, zgadzam się!

Umarła wraz z umilknięciem ostatniej głoski. Nie była to specjalnie widowiskowa śmierć, jej ciało jedynie lekko drgnęło, gdy nowy właściciel niezdarnie przejmował kontrolę nad poszczególnymi mięśniami.

* * *

Gdyby klif interesował się światem, obserwowałby teraz, jak stojąca na nim już od dłuższego czasu kobieta z wielkim zainteresowaniem porusza różnymi częściami ciała. Widziałby też zbliżający się do niej łańcuszek pochodni. Zobaczyłby, jak trzech rośli mężczyźni łapią jej niczego nieświadome ręce. Gdyby klif umiał słuchać, usłyszałby też słowa wypowiedziane przez jednego z tych mężczyzn.

— Chciałaś się zabić, lecz nie starczyło ci odwagi? Smutno tak zmarnować spektakularną ucieczkę.

Klif usłyszałby też świst przecinającej powietrze drewnianej pałki oraz poczułby upadek bezwładnego ciała. Jednak klif był obojętny i pozostał obojętny, podczas gdy trzech mężczyzn odeszli, zabierając ze sobą pewną czarnowłosą kobietę. Kobietę, która podobnie jak klif, była całkowicie nieświadoma sytuacji, w której się znalazła.

Rozdział I

Obudziła się w małej celi, na tyle niskiej, że nie mogła stanąć wyprostowana. Wykonane z litego kamienia pomieszczenie oświetlał wąski promień porannego słońca wpadający przez okienko, a raczej dziurę wybitą w murze. Otoczenie ją jednak mało obchodziło. Bardziej przejmował ją pulsujący ból głowy, przez który nie mogła na niczym skupić wzroku. Nie była jednak przestraszona ani smutna. Wręcz przeciwnie, była zachwycona. Nie zdążyła do końca zapoznać się ze świeżo zdobytym ciałem, a już przeżywała swoją pierwszą przygodę. Ból był jednak równie fascynujący co irytujący. Zaciśnęła zęby i podpierając się rękoma przeszła do pozycji siedzącej. Wycieńczone ciało powoli wstało i natychmiast poczuła, że była głodna. Nie tak głodna, jak człowiek co nie zjadł kolacji, tylko tak głodna, jak osoba co spędziła parę tygodni w celi, żyjąc o kromce chleba dziennie.

— No cóż – stwierdziła – przygoda to przygoda.

Uważnie wsłuchiwała się w dźwięk swojego głosu. Nie był zły, trochę za sztywny, ale na swój sposób łagodny i melodyjny. Obróciła się i spojrzała na znajdujące się za nią masywne drzwi. Zbudowane z sześciu równych kawałków metalu, wydawały się nie do pokonania. Po ich prawej stronie stała mała drewniana miska z pojedynczą kromką czerstwego chleba oraz niechlujnie wykonany kubek, prawdopodobnie z wodą. Z najwyższym zadziwieniem obserwowała, jak jej ciało samo zaczyna sunąć w stronę pożywienia. Podczas niemal niekontrolowanego posilania się ujrzała stojące po przeciwnej stronie metalowe wiadro. Jego przeznaczenia nawet nie chciała się domyślać. Aktualnie było na szczęście puste.

— Przygoda to przygoda – powtórzyła.

Tym razem jej głos nie zabrzmiał już jednak tak ciepło i melodyjnie. Starając się kontrolować negatywne myśli, doczołgała się do okna. Przecież widok skąpanej słońcem okolicy musiał jej dodać otuchy. Wyglądnęła na zewnątrz i znieruchomiała. Była wysoko, naprawdę wysoko, na tyle wysoko by malutcy ludzie na dole nie słyszeli jej krzyków. Na środku obszernego placu znajdował się niemały stos drewna ze wbitym pośrodku palem. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, gdy pojęła jego znaczenie. Po raz pierwszy przeszło jej przez myśl, że poprzednia właścicielka ciała niekoniecznie chciała skoczyć z powodu nieszczęśliwiej miłości, czy też innej błahej przyczyny. Przypomniała sobie paniczne słowa zgody nieżywej już kobiety. Słowa wypowiedziane tym ciepłym i melodyjnym głosem. Odsunęła się od okienka i usiadła pod nim, chowając głowę w kolana, przyjmując przy tym pozę godną więźnia bez przyszłości. Nie była jednak smutna ani przerażona. Można powiedzieć, że na

swój sposób była szczęśliwa. Przecież bycie więzionym w ciasnej celi było znacznie ciekawsze od życia przypadkowej wieśniaczki czy też arystokratki. Nawet jeżeli jej przygoda miała się niedługo skończyć to była na swój sposób unikalna. Uśmiechnęła się lekko.

— Przygoda to przygoda – wyszeptwała.

* * *

— Pieprzyć taką przygodę! – krzyknęła co sił swoim ciepłym i melodyjnym głosem przez małe okienko będące raczej dziurą niż okienkiem.

* * *

W gabinecie królewskiego inkwizytora Mauricio panował lekki półmrok. Wpadające do środka strużki światła odbijały się od bogato złożonych obrazów przedstawiających jego przodków dzielnie stawiających czoła potężnym demonom. Wszystkie ściany, łącznie z sufitem, pomalowane były na czarno. Jak mawiał Mauricio, kolor ten nadawał pomieszczeniu powagi. Lepki spokój zakłóciło natarczywe pukanie.

— Młodszy sierżant Szprota melduje, że przyszedł złożyć raport! – wytłumiony przez dębowe drzwi głos zaczął leniwe odbijać się od ponurych ścian¹.

— Wejść! – krzyknął Mauricio.

Dało się słyszeć głośnie przełknięcie śliny i drzwi stanęły otworem. Młodszy sierżant zacisnął zęby i wmaszerował do środka. Zasalutował, starając się nie patrzeć przy tym w sępie oczy inkwizytora. Nienawidził tego pomieszczenia. Mauricio przestał bawić się swym kręconym wąsem i spojrzał pytająco na stojącego przed nim strażnika.

— Ja... ja, wasza Ekscelencjo, przyszedłem złożyć meldunek w sprawie więdzmy! – wyjąkał Szprota.

Wielki inkwizytor wyprostował się na swoim skórzanym krześle, po czym położył łokcie na stole i oparł na rękach głowę.

— Ona... ona staje się coraz bardziej agresywna – kontynuował Szprota – minął już tydzień od próby ucieczki i jej zachowanie zmienia się z dnia na dzień na coraz gorsze. Wykrzykuje straszliwe rzeczy, a ostatnio zaczęła nawet pluć! – wydusił z siebie na bezdechu.

— Jak na pomiot diabelski przystało, prawda młodszy sierżancie? – spokojnie odpowiedział Mauricio – lecz rozumiem, że stało się coś nadzwyczajnego, jako że przyszedłeś aż tutaj, nękać moją osobę, nieprawdaż?

— Tak jest wasza Ekscelencjo! Dzisiaj rano zaatakowała wiaderkiem strażnika przynoszącego jej prowiant i... – słuchający raportu Mauricio, choć bardzo starła się tego nie ukazywać, lekko się uśmiechnął – opróżniła na niego jego zawartość. Kapitan tak się wściekł, że powiedział wiele zbędnych słów i wysłał mnie do waszej Ekscelencji.

Wielki inkwizytor wziął parę głębokich oddechów. Nie spieszyło mu się specjalnie z udzieleniem odpowiedzi. Uwielbiał wpatrywać się w drżącego z przerażenia Szprote, lecz żadna przyjemność nie mogła trwać wiecznie i w końcu przemówił.

— Jeszcze dzisiaj pójde do niej. Przeprowadzę z nią rozmowę Ostatniej Szansy i gdy ta się nie powiedzie, jutro rozpalimy ogień – widząc lekkie zdziwienie na

¹ po czym odbił się od sufitu i spadł na nich niezłym deszcz

twarży sierżanta, dodał spokojnie – każdej duszy trzeba dać ostatnią szansę. Choć na zewnątrz niewątpliwie szaleje demon to być może w środku dusza kobiety rozumie swoje błędy i chce wyzbyć się z siebie zła. Wtedy moim obowiązkiem, jako inkwizytora, jest pośpieszyć jej z pomocą.

Młodszy sierżant przypadkiem spojrział w oczy Mauricio. Przeszedł go zimny dreszcz. Rozmowa Ostatniej Szansy, jasne. Z udziałem dużej ilości ostrych narzędzi. Nie, ten człowiek prędzej zjadłby kogoś, niż by mu pomógł.

— Młodszy sierżancie Szprota – wyrecytował, bardziej niż wypowiedział inkwizytor.

— Tak jest wasze Ekscelencjo!

— Możecie wyjść.

— Tak jest wasza Ekscelencjo!

Szprota starał się zrobić to powoli. Naprawdę starał się ze wszystkich sił spokojnie otworzyć drzwi i powolnym krokiem wrócić do świata istot żywych. Niestety jak zwykle mu to nie wyszło.

* * *

Usłyszała kroki. Chciała krzyknąć coś niecenzuralnego, ale nie miała chwilowo na to siły. Zaciekawilo ją za to, kto to mógł być. Nie była to pora posiłku, a strażnicy zawsze trzymali się w miarę możliwości z dala od jej celi. W końcu była groźną wiedźmą. Może postanowili ją wreszcie spalić? Niespecjalnie jej to przeszkadzało. Miała już dość bycia więzioną i wołałaby spróbować, być paloną. Pozostawał jednak ten mały problem bólu. Jak bardzo bycie palonym żywcem mogło boleć? W końcu kroki ustały. Rozległ się zgrzyt zamka i po chwili drzwi stanęły otworem. W otoczeniu dwóch strażników stał odziany w czarne szaty człowiek. W przeciwieństwie do nich był niski i gruby. Posiadał do tego irytująco zakręcone wąsy. Siedząca na podłodze kobieta przekrzywiła o czterdzieści stopni głowę, zrobiła zęza i pokazała mu język.

— Zjem wasze dusze nędzni śmiertelnicy – krzyknęła swoim najmroczniej brzmiącym głosem.

Choć obaj strażnicy wydali się przerażeni, wielki królewski inkwizytor Mauricio uśmiechnął się z lekka. Nie wiedzieć czemu miała ochotę wstać i uderzyć go z całej siły w twarz. Sama ta myśl rozbawiła ją i jako że, szaleńczego śmiechu u wiedźm nigdy za mało, zaczęła się niekontrolowanie rechotać.

— Wyjdźcie i zamknijcie za sobą drzwi – powiedział spokojnie Mauricio.

Strażnicy, choć mocno zaniepokojeni zaistniałą sytuacją, posłusznie wykonali polecenie. Gdy ponownie rozległ się dźwięk zamykanego zamka, Mauricio leniwie spojrział w oczy kobiety.

— Cześć sępie oczy – powiedziała, przybierając normalny wyraz twarzy – ty tu rządzić? Ty mnie na stos palić? Ja groźna wiedźma być. Ty bać się o swoja dusza. Argh. Argh.

— Urocze, naprawdę. Długo to układałaś?

— Wiesz, zapewnili mi na to nad wyraz dużo czasu. Człowiek zaczyna się aż palić, by wreszcie się spalić.

Mauricio stał. Dopiero teraz do niej dotarło, że był na tyle niski, by móc wyprostować się w tym małym pomieszczeniu. Już chciała rzucić jakąś kąśliwą uwagę, gdy wielki inkwizytor jej przerwał.

— Nie przedłużajmy tej rozmowy. Ty mi powiesz, co chcę wiedzieć i zapomnimy o tym całym paleniu na stosie. Twoja dusza nagle oczyści się w świetle mojego miłosierdzia, czy też coś innego w tym rodzaju.

— Brzmi wspaniale. Co chcesz wiedzieć? Obawiam się tylko, że moja wiedza może kończyć się na układzie kamieni w tej celi.

— Dobrze wiesz, co chcę wiedzieć.

— Mogę zaproponować zmianę w konstrukcji stosu? Te kawałki drewna z lewej wydają się mało stabilne.

Mauricio skrzywił się i odwrócił od niej twarz.

— Jutro spłoniesz. Mam nadzieję, że nie będzie bolało za bardzo. Słyszałem, że pomaga myślenie o czymś chłodnym.

— Niski gruby człowieku o brzydkich wąsach – przerwała mu – chcę, byś odpowiedział mi na jedno pytanie. Taka mała prośba umierającej kobiety.

— Zależy od pytania – odparł Mauricio, nie odwracając głowy.

— Chodzi o noc, której uciekałam. Nie posiadam z niej żadnych wspomnień.

Wielki inkwizytor zamyślił się na chwilę. Wybiórca amnezja na skutek uderzania w głowę? Jak najbardziej możliwe. Odwrócił się i ponownie spojrzał jej w oczy. W lekko zielonych tęczęwkach skrywało się coś trudnego do określenia.

— Doniesiono mi, że podczas obchodu zastano drzwi do celi otwarte a samo pomieszczenie puste – zaczął powoli – Natychmiast wysłano pościg. Jeżeli naprawdę utraciłaś wspomnienia z tamtej nocy, to nigdy nie dowiemy się, jak tego dokonałaś. Najwyraźniej nie znałaś okolicy, gdyż moi ludzie znaleźli cię na brzegu klifu. Podobno z braku lepszych perspektyw chciałaś skoczyć i dokonać tym swojego żywota. Złapali cię, jednak nim się na to zdobyłaś – przerwał, by zaczerpnąć oddech – nic więcej nie wiem.

— Dziękuję – powiedziała ze szczerą wdzięcznością.

Mauricio lekko kiwnął głową, po czym trzykrotnie zapukał w drzwi i opuścił cele. Gdy kroki wreszcie umilkły, ponownie się skuliła. Nie chciała, by jutro wszystko się skończyło. Zdziwiło ją to z lekka. Przecież jeszcze pięć minut temu dałaby wszystko by wreszcie przestać być więźniem tej małej celi. Po krótkiej chwili komplementacji podniosła głowę i podesunęła się do okna. Spojrzała na czyste wieczorne niebo. Zaciekawilo ją, co by się stało, gdyby jutro cały dzień miało padać. Uśmiechnęła się szeroko.

— A jeżeli mały brzydki człowieku myślisz, że dam ci się spalić na twoim głupim stosie to się grubo mylisz – krzyknęła co sił przez okno.

* * *

Mauricio siedział w swoim gabinecie. Nigdy nie spodziewał się, że coś tak błahego, jak deszcz będzie w stanie aż tak go zrytować. Teraz każda kropla uderzająca w dach szarpała każdym nerwem jego ciała, wygrywając wspaniałą symfonię irytacji. Jak mógł spalić kogoś na stosie, gdy od rana lało? Oczyma wyobraźni ujrzał wykrzywaną w paskudnym uśmiechu twarz siedzącej w celi kobiety. Wydało mu się, że słyszy jej rechot.

— A śmiej się, śmiej – krzyknął, sam nie wiedząc do kogo – no i tak spłoniesz, prędzej czy później.

No cóż, przecież nie mogło padać wiecznie.

* * *

Jak zwykle obudziły ją odległe kroki. Złapała się okna i podciągnęła do góry. Choć był ranek, na zewnątrz ciągle było jeszcze ciemno. Gęste deszczowe chmury praktycznie całkowicie zakrywały słońce. Zgrzytnął zamek i w drzwiach stanął nieznaną jej dotąd mężczyznę. Nie zdziwiło jej to specjalnie, gdyż strażnicy zmieniali się codziennie. Podejrzewała, że ciągnęli losy. Gość z surowym wyrazem twarzy wkroczył do środka. Szybkimi energicznymi ruchami wymienił wiadro na puste i położył na misce kromkę chleba, starannie unikając przy tym jej wzroku. Miała ochotę rzucić w niego kamieniem.

— Spójrz na mnie – powiedziała spokojnym tonem.

Mężczyzna odwrócił się, ignorując jej słowa i przygotował się do wyjścia.

— Pada już drugi dzień – kontynuowała – mam prośbę. Długo już nie pożyję, a koszmarnie mi się nudzi. Przynieście mi coś, czym mogłabym się zająć, jakąś książkę na przykład. W zamian obiecuje być spokojna – odczekała chwilę, obserwując reakcję mężczyzny. Ten stał jednak w całkowitym bezruchu – proszę – dodała cicho.

Trzasnęły drzwi i zgrzytnął zamek. W samotności wsłuchiwała się w powoli gasnące kroki. Westchnęła ciężko. Dziewięć dni w zamknięciu. Ponownie przysunęła się do okna i spojrzała w czarne burzowe chmury. Zastanawiała się, jak długo chce się jej przeciągać tę farsę. Kiedyś przecież musiało przestać padać, a przebywanie w ciasnej celi dawno przestało ją bawić.

* * *

Czas się jej straszliwie dłużył. Z powodu paskudnej pogody nie było nawet jak obserwować ludzi poruszających się po placu. Zbliżało się południe, gdy nagle zaskoczyło ją gwałtowne otworzenie drzwi. Skupiona na obserwowaniu smętnego krajobrazu nie usłyszała, że ktoś nadchodził. Ostrożnie odwróciła głowę. Ujrzała dwóch chytrze uśmiechniętych strażników. Poznała ich. Na jednego z nich parę dni temu opróżniła wiaderko. Ostrożnie zaczerpnęła powietrza, czując, jak pot skrapla się jej na plecach. Bardzo, ale to bardzo nie spodobała się jej sytuacja, w której się znalazła. Niższy z nich, z krótko przyszytą grzywką, zrobił krok do przodu.

— Odwiedził cię nasz kapitan – rzekł krótko.

Przez jej umysł szybko przeleciały wspomnienia z rana. Rzeczywiście, mundur strażnika sprzed paru godzin był trochę inny.

— I po tej krótkiej wizycie powiedział nam bardzo ciekawą rzecz – rzucił drugi, nie ruszając się ze swojego miejsca – widzisz, wyraził zgodę na coś, o co go prosiliśmy już od paru dni.

Lekko dygocząca kobieta zapanowała nad strachem. Ignorując spoczywający na niej wzrok strażników, wyprostowała się i usiadła, przybierając spokojny wyraz twarzy. Jaki był sens paniki? No i tak nie miała gdzie uciekać.

— Widzisz, kapitan to dobry człowiek – kontynuował szeroko uśmiechnięty – i zazwyczaj pozwala nam trochę ożywić życie więźniów.

— Ale ty miałaś być groźną wiedźmą – przerwał mu strażnik stojący z tyłu – i nawet od patrzenia na ciebie mieliśmy tracić wzrok i duszę.

— Czy też co tam się traci od patrzenia na groźne wiedźmy – dodał ten z przodu, po czym włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z kieszeni talie kart. Zręczne palce szybko zaczęły tasować jej zawartość.

— Pierwszy raz gościmy tu damskiego więźnia – mówił, nie przerywając tasowania – ale mamy nadzieję, że kobieta też zachce z nami zagrać.

— Prawdę mówiąc nie wiemy nawet jak cię nazywać – ponownie wtrącił się ten drugi – Więźniarka? To brzmi jak nazwa jakiegoś wozu¹.

— Ach i my tu uprawiamy prawdziwy hazard, bez żadnych taryf ulgowych – przerwał na chwilę tasowanie, by wskazać palcem miskę z niezjedzoną jeszcze kromką chleba – jedzenie stawka dobra jak każda inna.

Mówiąc to, wolną ręką wyciągnął z kieszeni czerwone jabłko. W głowie dumnie siedzącej kobiety rozbłysło oślepiające światło. Miała szansę wygrać jabłko. Uśmiechnęła się, walcząc z napływającymi łzami. Strażnicy spojrzeli na siebie najwyraźniej zadowoleni z jej reakcji.

— To w co diabelski pomiot raczy zagrać – zapytał jeden z nich.

Po paru głębokich oddechach odparła opanowanym głosem.

— Diabelski pomiot szybko się uczy – spojrzała tasującemu prosto w oczy – wybierzcie coś.

Gdy dwaj strażnicy przygotowywali sobie obok niej miejsca, ponownie rzuciła okiem na kłębiące się czarne chmury. Szykowały się wyjątkowo deszczowe tygodnie.

* * *

Byli przyszywanymi braćmi. Obaj stracili rodziców podczas epidemii przed szesnastu laty. Wychowała ich bezdzietna wdowa, która przyszarpała ich, by wypełnić pustkę w życiu po zmarłym małżonku. Początkowo żyli z oszczędności pozostawianych przez jej męża, łapiąc się dorywczych prac, jednak z czasem zaczęła doskwierać im bieda. Dla dwóch młodych chłopców bez fachu i wykształcenia były tylko dwie możliwości – wojsko albo straż. Wybrali straż. Za dużo nie zarabiali, ale na utrzymanie podstarzałej już przyszywanej matki wystarczało. Nazywali się Kord i Bartok. Kord, starszy o rok, był niskim blondynem, kompletnym przeciwieństwem potężnie zbudowanego czarnowłosego brata.

— Mówię ci, Mauricio chodzi wściekły jak osa – powiedział, rzucając na podłogę kartę.

Padało już piąty dzień. Z powodu nieustannych opadów strażnicy mieli sporo wolnego czasu, przez co przychodzili do więzionej kobiety codziennie, spędzając w jej celi nawet po parę godzin.

— Ale nie tylko on jest zły – kontynuował jego brat, uważnie przyglądając się swojej ręce – ulice dosłownie płyną i nie ma jak prowadzić handlu – nie przerywając, zagrał kartę – krążą plotki, że przyczyną deszczu jest pewna wiedźma, która jest więziona przez inkwizycję.

Siedząca po turecku kobieta bez słowa pokazała pozostałym swoją rękę. Obaj bracia cicho westchnęli, po czym Kord wyjął z kieszeni kielbasę i rzucił ją przed siebie. Szczęśliwa zwyciężczyni zręcznym ruchem złapała ją i natychmiast przystąpiła to konsumpcji.

— Sugerujecie, że mieszkańcy będą się domagali natychmiastowego usunięcia problemu? – zapytała w przerwie pomiędzy kęsami.

Bracia zgodnie przytaknęli, przybierając smętny wyraz twarzy. Przez ostatnie dni zdążyli ją polubić i wizja natychmiastowej egzekucji nowej przyjaciółki niezbyt przypadła im do gustu.

¹ autor umiera ze śmiechu

— No to, czym się przejmujecie? – zapytała, widząc ich ponure miny – Prawdopodobnie mnie zetną albo powieszą. Stukrotnie wolę taką śmierć od spalenia żywcem.

W ciszy obaj bracia obserwowali, jak siedząca przed nimi nadzwyczaj groźna wiedźma szybkimi ruchami zbiera z podłogi karty i zaczyna je tasować. Rzeczywiście szybko się uczyła.

— Przecież to bez sensu – krzyknął Bartok, przerywając jej rozdawanie, lecz umilkł, nie widząc co dalej powiedzieć.

— Wy wiecie, ja wiem, Mauricio wie, być może wasz kapitan wie – powiedziała spokojnie – lecz co zrobić?

— Ale dlaczego wielki królewski inkwizytor chce koniecznie zabić niewinną kobietę, wmawiając przy tym wszystkim, że jest ona wiedźmą? – zapytał drugi brat, podnosząc z ziemi swoje karty.

— Dziwne pytanie – odpowiedziała spokojnie – Czy inkwizycja kiedykolwiek zajmowała się czymkolwiek innym?

Poza tym, kto powiedział, że była niewinna. Z krótkiej rozmowy z Mauricio wniosowała, że jej poprzedniczka zrobiła coś, co mocno zdenerwowało inkwizycję.

— Ale dlaczego konkretnie ty? – kontynuował – Przecież nie paliliby pierwszej losowo spotkanej kobiety. Zresztą nie wydajesz się mi być pierwszą losowo spotkaną kobietą.

Podniosła z ziemi przypadające jej karty i się skrzywiła. Były beznadziejne, dawno nie miała takiego pecha. Odłożyła je na bok i wyciągnęła do przodu nogi, opierając się o chłodną ścianę. Sama chętnie poznałaby odpowiedź na pytanie Korda. Wspomnienia kobiety, której ciało przejęła odeszły na zawsze wraz z jej śmiercią. Zastanowiła się chwilę co mu odpowiedzieć.

— Nie rozmawiamy o rzeczach, których zmienić nie możemy – zaczęła – Już pogodziłam się ze swoim losem, więc zmienmy temat – było to lekkie kłamstwo, czego dowodem była choćby pogoda za oknem, lecz bracia nie musieli tego wiedzieć – Wy za to zmieniliście bardzo dużo już samą swoją obecnością – kontynuowała – ubarwiliście ostatnie dni skazanej na śmierć kobiety, za co jestem wam niesłychanie wdzięczna. Dzięki wam miałam z kim porozmawiać i z kim się pośmiać. Jeżeli naprawdę jutro czeka mnie ścięcie, to pójdę na nie z uśmiechem na twarzy. Ba, być może nawet powykrzykuję w stronę gapiów jakieś słowa godne groźniej wiedźmy.

Korzystając z chwili nieuwagi, zręcznym ruchem podmieniła swoje karty z ciągle leżącymi na ziemi kartami Bartoka. Zaciekawilo ją czy naprawdę była aż tak dobrą oszustką, czy raczej bracia przymykali oko na jej przekręty.

— Rozumiemy, że nie chcesz nam o sobie opowiadać, masz do tego całkowite prawo – powiedział cicho Kord – ale do cholery powiedz nam, chociaż jak się nazywasz. Znamy się już pięć dni, a ciągle nie wiemy, jak masz na imię.

To zabolalo. Nigdy nie miała imienia. Zawsze zazdrościła ludziom przywileju posiadania czegoś tak prywatnego, jak własne imię. Rozmyślając, przyjrzała się nowo zdobytym kartom. Były równie beznadziejne, jak pozostałe. Klnąc w myślach, doznała olśnienia.

— Wiem! – krzyknęła, rozpromieniając się – nadajcie mi jakieś imię!

Bracia spojrzeli z niedowierzaniem na rozradowaną twarz siedzącej przed nimi kobiety. Jej wyraz nie pozostawiał wątpliwości, że mówiła serio.

— Ale dla... – zaczął jeden z nich, lecz urwał w pół słowa, czując na sobie jej pełen nadziei wzrok. Westchnął cicho – dobra, daj nam chwilę.

Obaj strażnicy wstali i powoli wyszli z celi. Choć dało się słyszeć ich przyciszone szepty, postanowiła nie podsłuchiwać. Gdy po dłuższym czasie wrócili, wyglądali na lekko zmieszanych.

— Trochę się posprzeczaaliśmy – zaczął Bartok.

— I mamy parę propozycji – dokończył jego brat.

Kobieta lekko przekrzywiła głowę. Miała nadzieję, że będą mieli jedną gotową odpowiedź.

— Mokosz¹ – zaczął cicho Kord.

Szykował się długi wieczór.

— Widzisz, mówiłem ci – powiedział drugi brat, widząc jej skrzywioną twarz – brzmi za swojsko, kompletnie nie pasuje.

— Dobrze, to w takim razie Dudula² – zaproponował ponownie.

Bardzo długi wieczór.

— Chyba zwariowałeś! – krzyknął Bartok, wymachując rękoma – Powiesiłbym się, mając takie imię. Ludzie braliby mnie za jakąś dzikuskę biegającą nago³ po polu!

Fascynował ją fakt, że nikt nie pytał jej o zdanie. Klócili się w najlepsze pomiędzy sobą, kompletnie ignorując jej obecność. No cóż, co było robić. Wzdychając, ponownie oparła się o ścianę.

— No to Nefredyta⁴ – rzucił zdenerwowany już Kord.

Nastąpiła kłopotliwa cisza. Obaj bracia patrzyli się na siebie, mordując się wzajemnie wzrokiem. Biorąc pod uwagę ich różnice we wzroście, wyglądało to co najmniej śmiesznie. Ulegając nagłemu oświeceniu, przypomnieli sobie o obecności trzeciej osoby. Synchronicznie obrócili głowy i spojrzeli na jej twarz.

— Nie. – stwierdzili zgodnie.

— Nefredyta sugeruje, abyście wyszli na zewnątrz i nie wracali bez sensownej propozycji – zaproponowała, uśmiechając się przy tym promieniście.

Obaj bracia kiwnęli głową na znak zrozumienia i pośpiesznie opuścili celę. Ponownie dało się słyszeć odległą dyskusję. Tym razem odeszli na tyle daleko by nie była w stanie rozróżnić poszczególnych słów. Nie mając nic lepszego do roboty, przysunęła się do okna. Zalany wodą plac był całkowicie pusty. Przygotowany z myślą o niej stos rozpadł się już parę dni temu. Teraz był nieforemną kupą drewna z przekrzywionym palem pośrodku. Jej znudzone oczy wychwyciły sylwetkę przebiegającego szybko z drzwi do drzwi człowieka. Smutno było patrzeć na pogrążone w melancholii miasto. Spoglądając na ten smętny widok, podjęła pewną decyzję, decyzję, którą odwlekała już od jakiegoś czasu. Choć zwykły człowiek nie był w stanie tego zauważyć, momentalnie lekko zmieniło się ciśnienie powietrza. Niektóre wiatry zmieniły kierunek, część chmur zatrzymało się w swojej wędrówce przez niebo. I choć nadal padało i zwykły człowiek nie zauważyłby w pogodzie najmniejszej różnicy, wielodniowe deszcze wreszcie zmierzały ku swemu końcu.

* * *

— Nefredyta czeka na rozsądne propozycje – powiedziała słodko, patrząc się na

¹ bogini panteonu słowiańskiego, według części badaczy bogini deszczu, mokrej pogody i burzy.

² również słowiańska bogini deszczu

³ słowiański obrządek sprowadzania deszczu. Nasza kultura jest piękna, prawda?

⁴ w mitologii egipskiej bogini śmierci, żona Seta, boga burzy

stojących przed nią szywno braci. Nie było ich ponad godzinę i wyglądali jakby przez tę godzinę byli zmuszani do ciężkich prac fizycznych.

— Indra¹ – zaczął tym razem Bartok.

— Co? – krzyknął jego brat – przecież mówiłem ci, że to męskie imię!

— A twoje Saći Dewi² niby lepsze? Spróbuj wyjść na ulice i powiedziec „*Dzień dobry nazywam się Saći Dewi*”. Ludzie pomyśleliby, że jesteś jakimś wielookim potworem!

— Przynajmniej nikt nie wzięłby mnie za mężczyznę!

Przyglądała się ich kłótni z niedowierzaniem, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy też płakać.

— Naprawdę – przerwała im – co robiliście przez ostatnią godzinę?

Obaj bracia spojrzeli na siebie speszeni. Odwrócili się do niej plecami i nachyli ku sobie głowy.

— Ustalmy szybko coś normalnego, bo nas zaraz zje, wiedźma jedna – szepnął Kord.

Słyszała ich doskonale, ale nie miała nawet siły o tym wspominać.

— To może Frigg³?

— Podoba mi się ten barbarzyński akcent. Doskonale pasuje do jej charakteru, ale Frigg trochę za topornie brzmi, nie uważasz?

— Masz rację... to jak nie Frigg to Freja⁴!

Obaj zgodnie kiwnęli głowami i szybko odwrócili się ku kobiecie, której właśnie mieli nadać imię.

— Tak więc nazywamy cię Freja! – powiedzieli razem.

Freja przez chwilę siedziała nieruchomo, przetwarzając, co właśnie usłyszała. Nagle, na tyle ile to było możliwe, podskoczyła i uściśkała serdecznie obu strażników.

— Rozumiem, że ci się podoba – wydusił z siebie lekko zaskoczony Kord.

— Podoba się, podoba – powiedziała ze szczerym wzruszeniem – naprawdę się podoba.

— No to nasza Frejo skończmy z tymi czułościami i dokończmy rozpoczętą partię – dodał Bartok.

Kiwnęła głową i puściła ich. Miała własne prywatne imię. Nikt nie mógł jej go zabrać czy odebrać. Świadomość tego prostego faktu przepełniła ją radością. W jednej chwili jej krótka zabawa w człowieka, która niebawem miała się skończyć, nabrała sensu.

* * *

Na czystym po raz pierwszy od dłuższego czasu niebie świeciły jasno gwiazdy. Przyglądała się im, leżąc na chłodnych kamieniach ciasnej celi. Westchnęła cicho. Więc tak wyglądała jej ostatnia noc przed egzekucją. Tępo wpatrując się w świetliste punkty, starała się określić stan, w którym się znajdowała. Strach? Nie, przecież nie miała się czego bać, bardziej smutek. Głupio było, tak ginąć, zaraz po tym, jak zyskało się imię. Niestety z sytuacji, w której się znalazła, nie było żadnego wyjścia.

¹w mitologii indyjskiej jeden z najważniejszych bóstw. Między innymi władał deszczem, burzą, błyskawicą i gromem oraz zsyłał życiodajne deszcze.

²małżonka Indra. Piękna bogini gniewu i zazdrości o tysiącu oczu.

³nordycka patronka małżeństw, bogini deszczu i żoną Odyna.

⁴w mitologii nordyckiej bogini płodności, miłości, vegetacji oraz magii. W niektórych rejonach utożsamiana z Frigg.

Tak, bezradność też była dobrym słowem. Gdyby chociaż wiedziała, dlaczego miała zginać, może mogłaby próbować negocjować. Ponownie westchnęła i powoli zamknęła oczy. Było trzeba się przecież wyspać przed egzekucją. Będąc już na granicy snu, usłyszała swoje imię. Uśmiechnęła się lekko, rozmyślając nad tym, jak ładnie ono brzmi.

— Freja, na miłość boską, wstawaj!

Powtórzony szept ocucił jej umysły. Gwałtownie otworzyła oczy i wytężając wzrok, spojrzała przed siebie. Przebijając ciemność, ujrzała pochylającą się nad nią postać Bartoka.

— Dobrze, spójrz mi w oczy – szepnął – mamy jakieś pięć minut, zanim moja nieobecność stanie się podejrzana, więc słuchaj uważnie i nie przerywaj – zamilkł, oczekując jej reakcji.

Freja, choć mocno zdziwiona, kiwnęła lekko głową na znak zrozumienia. Strażnik widząc to, natychmiast zaczął rozpinąć koszulę.

— Dzisiaj będą jeszcze dwa obchody – kontynuował cicho – następny będzie za jakieś dwie godziny. Strażnik przejdzie tylko raz, najprawdopodobniej bez pochodni, więc musisz uważnie nasłuchiwać.

Nie przerywając, rzucił na ziemię zdjęte ubranie i zabrał się za rozpinanie spodni. Freja, ciągle leżąc w bezruchu, przyglądała się mu, starając się zorientować, co się dzieje. Nagle zorientowała się, że Bartok pod zdjętym mundurem ma drugi taki sam.

— Gdy umilkną jego kroki, odczekaj dla pewności parę minut i przemieść się do celi obok pozostawiając drzwi od swojej szeroko otwarte – mówił, patrząc się jej w oczy – Podczas drugiego obchodu rozpęta się prawdziwe piekło – położył przed nią spodnie i zaczął zdejmować buty – ty je jednak spokojnie przeczekasz, podczas gdy straż będzie przez całą noc ciebie szukać w mieście i okolicach. Jutro, gdzieś w środku nocy, ubierz moje ubrania i spokojnie opuść wieżę. Jak dobrze pójdzie, to nikt nie będzie pilnował wyjścia, a nawet jak już będzie, to weźmie cię za strażnika. W końcu wszyscy będą koszmarnie niewyspani.

Freja w końcu pojęła, o czym mówił Bartok. Nie rozumiała jednak dlaczego to robił. Ciągłe nie ruszając się z miejsca, patrzyła, jak odkłada zdjęte buty. Stał teraz boso, podnosząc na zmianę nieprzyzwyczajone do chłodu stopy.

— Niestety nie umiem założyć dwóch par butów – powiedział, widząc jej wzrok spoczywający na swoich nogach – ale nie martw się, drugie czekają na mnie schowane parę metrów od więzienia.

Rzykował posadę, może nawet życie dla niej, kompletnie nieznaną mu osoby. Osoby będącej więźniem, wiedzącą, osoby, której nawet nie znał imienia, a raczej nie wiedział, że takowego dotąd nie posiadała. Chciała zadać mu dziesiątki pytań, ten jednak nie dał jej do tego okazji, kontynuując swój monolog.

— Będąc już na dole, skieruj się w stronę resztek stosu. Omini go i idąc cały czas prosto, skręć w pierwszą alejkę w lewo. Na jej końcu będzie czekała na ciebie osoba, która poprowadzi cię dalej. My się już pewnie nie zobaczymy, ale cóż, życie dziwne bywa – przerwał, by nabrać powietrza – powodzenia i żegnaj Frejo, Kord pozdrawia. Obaj stwierdziliśmy, że głupio tak pozwolić przyjaciółce bezsensownie umrzeć.

Uklonił się lekko, po czym obrócił się i szybkim krokiem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zgrzytnął zamek, lecz sąsiedniej celi. Zadowolony z siebie zaczął schodzić w dół schodami, pozostawiając za sobą ciągle trwającą w bezruchu Freję. Niestety nie mógł zobaczyć pojedynczej łzy spływającej po jej policzku. Ktoś nazwał

ją przyjacielem¹.

* * *

Czekanie było katorgą. Nasłuchiwała, siedząc oparta o metalowe drzwi. Na początku obawiała się, że usnie i przegapi kluczowy moment, lecz serce podskakiwało jej do gardła przy każdym, nawet najcichszym, dźwięku. Dłużący się czas wypełniała analizując plan ucieczki. Nie był specjalnie wyrafinowany, wręcz prosty i niewymagający od niej specjalnego wysiłku, ale w swojej prostocie genialny. Bracia wyraźnie marnowali się w straży. Uśmiechnęła się szeroko, po raz kolejny oczyma wyobraźni widząc siebie wychodzącą z przekłętego więzienia. Wyobraziła sobie podskakującego z irytacji Mauricio. Nienawiść była pięknym uczuciem. Nagle otaczającą ją ciszę zakłóciły ciche kroki. Strażnik był dopiero parę pięter niżej, a jej serce już biło szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Uspokoila się, biorąc parę głębokich oddechów. Po chwili rozszalały rytm serca spowolnił i skupiając się na kojącym chłodzie metalowych drzwi, wsłuchiwała się w rozbrzmiewające kroki. Strażnik minął jej celę i przeszedł dalej. Stłumiła w sobie nagłą chęć wyskoczenia na zewnątrz i czekała dalej. Gdy otaczający ją świat ponownie pogrążył się w ciszy, ciągle siedząc, nacisnęła z całej siły plecami o drzwi. Niedawno smarowane zawiasy bezgłośnie obróciły się i Freja bezwładnie poleciała do tyłu, uderzając głową o ziemię. Powoli otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Ujrzała sufit korytarza, dużo wyższy od tego w celi. Miała ochotę się rozpłakać, lecz zgrabnie wstała, prostując plecy po raz pierwszy od wielu dni. Rozglądnęła się po wygiętym w szeroki łuk korytarzu. W zasięgu wzroku miała pięć zamkniętych celi. Podeszła do drzwi po lewej i z całej siły pociągnęła za okrągłą klamkę. Przed nią otworem stanęła bliźniacza cela z takim samym okienkiem i takim samym metalowym wiaderkiem stojącym w kącie. Westchnęła cicho. Było chociaż puste. Nie tracąc więcej czasu, przeniosła mundur do nowego pomieszczenia. Chciała już zamknąć drzwi, gdy wpadła na pewien zabawny pomysł. Szybkim krokiem wróciła do starej celi i zdjęła z siebie swój znienawidzony fartuch więzienny. Rozciągnęła go na środku pomieszczenia i chichocząc, wróciła naga do swojej nowej kwatery. Niestety zamknięcie drzwi od środka okazało się znacznie trudniejsze. Nie było za co ich złapać. Po długich minutach wypychania palców pod próg w końcu się jej to udało. Wykończona psychicznie i fizycznie położyła się na plecach i usnęła. Z twardego snu nie wyrwało jej nawet siarczyste przekleństwo strażnika, rzucone, gdy znalazł pozostawione przez nią ubranie w szeroko otwartej celi.

* * *

Wielki Królewski inkwizytor wstał z szampańskim humorem. Wreszcie nie padało! Nareszcie miały się skończyć nieustanne pretensje plebsu, nareszcie mógł spalić tę irytującą kobietę. Jak ktokolwiek śmiał nazywać go małym brzydkim człowiekiem? Miał właśnie wyjść na obfite śniadanie. Gdy rozległo się pukanie. Mauricio skrzywił się gwałtownie. Nagle przez jego umysł przeszła pewna przerażająca myśl.

— Młodszy sierżant Szprota? – zapytał głośno, by usłyszano go zza drzwi.

— Ekhm, tak wasza Ekscelencjo – odpowiedział cichy głos z zewnątrz.

— Nie przychodzisz przypadkiem przekazać mi jakiś złych wieści – kontynuował – Na przykład, że pewna nadzwyczaj groźna wiedźma, z powodu której od tygodnia

¹autor przy pomina – friendship is magic

nie dało się prowadzić handlu, powiedzmy, uciekła?

— Eee, nie wasze Ekscelencjo – Szprota odpowiedział drżącym głosem – raczej rozplynęła się w powietrzu. Znaleźliśmy tylko jej ubrania leżące schludnie rozciągnięte w celi – przerwał, gdyż za drzwiami rozbrzmiało głośnie uderzenie – naturalnie szukaliśmy jej całą noc, lecz do tej chwili nie znaleźliśmy nawet najmniejszego śladu.

— Szprota! – wydobywający się z zamkniętego pomieszczenia głos ociekał mordem.

— Tak, wasza Eksce...

— Dobrze ci radzę, nie pokazuj mi się dziś na oczy, bo skończysz na jej stosie – młodszy sierżant nawet przez drzwi czuł na sobie złowrogi wzrok inkwizytora – i nie mów „*Tak wasza Ekscelencjo*” tym swoim irytującym głosikiem, tylko idź stąd w cholerę.

Mauricio stał szeroko na nogach, oddychając gwałtownie. Spojrzał na ścianę, w którą przed chwilą rzucił swoim ulubionym złotym kałamarzem. Obraz, w który trafił, nadawał się do wyrzucenia. Namalowana na nim postać zamiast głowy miała teraz czarną plamę. Na leżący na ziemi pokrzywiony kałamarz nawet nie chciał patrzeć.

— Niech ją szlag jasny trafi – krzyknął z całej siły, na tyle głośno, że oddalający się pośpiesznie Szprota zdążył to jeszcze usłyszeć.

Najpierw niekończący się deszcz, który nie pozwala mu jej zgodnie ze sztuką spać. Gdy wreszcie postanawia ją po prostu ściąć, to przestaje padać, a ona dosłownie rozplywa się w powietrzu. Dałby sobie głowę urwać, że ubranie zostawiła na ziemi tylko po to, by go jeszcze bardziej zdenerwować.

— Znajdę cię głupia więdźmo, słyszysz mnie? – krzyknął do otaczającej go pustki – choćby miało mi to zająć lata, choćbym miał stracić posadę, pieniądze i życie, znajdę cię ty... ty sekutnico jedna!

Powoli zaczynał wierzyć w to, że ta kobieta naprawdę była więdźmą. On, Wielki Królewski Inkwizytor, wierzący w więdźmy? Ta myśl wyjątkowo go przerażała, co tylko jeszcze bardziej podsycalo jego gniew. Oddychając ciężko, usiadł na swoim fotelu. Otarł rękawem pot z czoła i spróbował się uspokoić. Choć jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy, gdzieś pośrodku gniewu i strachu zrodziło się jeszcze jedno uczucie. Był ciekawy, chorobliwe ciekawy czy w końcu, po wielu latach zakłamaney pracy inkwizytora, naprawdę udało mu się znaleźć więdźmę. Podczas wykrzykiwania kolejnych przekleństw powoli rodziły się w nim pytania. Kim naprawdę była? Co potrafiła? Skąd przybyła? Jednak chwilowo dominowała w nim prymitywna chęć znalezienia jej i spalenia na największym stosie, jaki zdoła własnoręcznie zbudować.

* * *

Bała się otworzyć oczy. Teraz gdy się nad tym zastanowiła, to położenie się nago na kamieniach, było wyjątkowo złym pomysłem. Skrzywiła się, czując przeszywające zimno, rozchodzące się po całym ciele. Powoli uniosła plecy i skuliła się, dygocząc. Drżącą ręką chwyciła otrzymaną od Bartoka koszulę i założyła ją na siebie. Choć sucha, niezbyt pomogła. Wykonana z szorstkiego materiału niemiłosiernie gryzła ją w skórę. Złapała więc jeszcze spodnie i paroma szybkimi ruchami ubrała je. Ciągłe dygocząc, uświadomiła sobie, że nikt jej dzisiaj nie przyniesie ani jedzenia, ani picia. Miała wszystkiego serdecznie dosyć. Przecież mogła wyjść i dać się złapać. Na stosie byłoby chociaż ciepło, a spytana o ostatnie życzenie poprosiłaby o jedzenie.

Długo jednak nie rozważała tej możliwości. Zrezygnowana schowała głowę w kolana i spróbowała dokładniej otulić się koszulą. Dłużące się godziny były torturą. Choć po pewnym czasie ogrzała się, to ciągle była głodna. Nie byłoby to takie straszne, gdyby miała cokolwiek do roboty. Dla zabicia czasu nie mogła nawet wyglądać przez okno, bała się, że ktoś ją zauważy. Pozostało jej jedynie rozmyślnie o głodzie. Z czasem nawet to okazało się, być nużące i zaczęła poszukiwać innych czynności. Niezwykle fascynujące okazało się na przykład wkładanie i zdejmowanie buta. Co ciekawe miał nawet w miarę odpowiedni rozmiar. Jednak i to się w końcu znudziło, a do nocy ciągle było jeszcze daleko. Położyła się więc na plecach i usiłowała wmówić sobie, że śpi. Po godzinie pogodziła się z porażką i wróciła do zabawy butem. Był wysoki, sznurowany aż po kostkę, na grubej podeszwie. Musiała przyznać, że obuwie strażnicy dostawiało porządne. Paroma szybkimi ruchami wywlekła długą czarną sznurówkę. Z zachwytem spojrzała na nową zabawkę. Zawiązała schłodną szubienicę i przeprowadziła egzekucję wiadra. Odczytała mu nawet zarzuty. Zawisło głównie za ordynarność. Jednak i to się skończyło i z braku lepszych perspektyw skuliła się i zaczęła cicho płakać. Nie płakała z jakiegoś konkretnego powodu, czy też ze smutku, czy rozpacz. Płakała dla zabicia czasu. Płakała za wiadrem, którego uśmierciła, za butem, którego pozbawiła sznurówki, płakała dla samego płakania. Tak sobie przynajmniej wmawiała. W końcu jej umysł zlitował się nad nią i usnęła.

* * *

Śniły się jej sceny, których nie powinna była znać. Starszy mężczyzna puszczał z nią latawiec, tańczyła na czyimś weselu, leżała na łące wpatrując się w gwiazdy. Ludzie, miejsca i obce emocje. Przed jej oczyma przelatywały fragmenty nieistniejących już na tym świecie wspomnień. Nie było jednak w nich żadnego logicznego porządku ani głębszego znaczenia. Jadła obiad, jechała gdzieś konno, kupowała kalarepę na targu. Nagle jednak rozmyty dotąd obraz nabrał szczegółów. Padało, a ona biegła przez las. Jej prawa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż boku. Wpatrywała się w powoli opadające z niej krople krwi. Nagle czas spowolnił. Jej ciało wygięło się trafione czymś od tyłu. Usłyszała swój spowolniony krzyk oraz poczuła powoli rozprzestrzeniającą się falę bólu. Trzymany dotąd w lewej ręce przedmiot wyleciał do przodu otoczony leniwie przecinającymi powietrze kroplami krwi i wody. Wykonał dwa obroty wokół swojej osi, po czym zamarł w całkowitym bezruchu. Po sekundzie czas ponownie podążył do przodu i poleciała do przodu, gwałtownie uderzając o ziemię.

* * *

Freja oddychała głęboko, z trudem łapiąc oddech. W jej umyśle ciągle tkwił obraz wiszącego w powietrzu przedmiotu. Tak jak wszystko inne w tym fragmencie snu było ostre, to ten jeden element był całkowicie rozmazany. Usiadła wyprostowana, starając się uspokoić szalejące serce. Na zewnątrz było już ciemno, a ona nie miała pojęcia, która jest godzina. Odgoniła od siebie myśli o śnie i skupiła się na ucieczce. Podczołgała się do drzwi i pchnęła je gwałtownie. Wyszła na korytarz i przeciągnęła się, prostując obolałe kości. Spodnie na szczęście miały pasek, dzięki czemu trzymały się jej wygłodzonego ciała. Gorzej było z koszulą. Dla próby podskoczyła parokrotnie. Nic nie spadło. Zawiązała pośpiesznie wysokie buty i nie chcąc przebywać w przeklętym więzieniu ani chwili dłużej, zamknęła za sobą drzwi. Ruszyła do przodu łukowatym korytarzem. Wszystko ją gryzło i szczypało, lecz dzielnie zigno-

rowała to. Nareszcie zbliżała się ku wolności. Koniec z ciasnymi pomieszczeniami, koniec ze wpatrywaniem się w chłodne mury. Spiralne schody ciągnęły się w dół wieży, co jakiś czas wychodząc na kolejne piętra. Naliczyła ich pięć. Jej cela znajdowała się na ostatnim. W końcu zeszła na sam dół i ujrzała przed sobą małe drewniane drzwiczki oddzielające ją od świata zewnętrznego. Ostrożnie, jakby ktoś miał ją zaraz zakatować, podeszła do nich. Wyciągnęła drżącą rękę w stronę klamki, lecz cofnęła ją gwałtownie. Na zewnątrz ktoś mógł być, a ona miała udawać strażnika. Strażnicy nie chodzili skuleni i nie otwierali drzwi drżącymi rękoma. Wyprostowała się dumnie i odważnym ruchem pociągnęła za klamkę. Spokojnym, leniwym nawet krokiem, pokonała próg. Na zewnątrz stała pojedyncza osoba. Freja poczuła, jak ogarnia ją panika. Po krótkiej walce się opanowała. Przecież była przebrana. Spokojnie spojrzała na stojącą obok niej postać. Poznała sierżanta straży. Patrząc się mu w oczy, zorientowała się, że on też ją poznał.

— O, witam młodszą szeregową Freję – powiedział spokojnie – jak tam obchód? Jakies uciekające widzimy?

Zaniemówiła. Nie wiedziała co robić ani co myśleć. Słowa sierżanta były suche, pozbawione jakichkolwiek emocji. Wypowiedział je całkowicie naturalnie, tak jakby naprawdę była strażniczką i w jej obecności nie było nic dziwnego. Przyglądała się, jak wkłada rękę za koszulę i wyjmując małą książkę. Silnym, szybkim ruchem złapał Freję za rękę i położył jej ją na dłoni. Ogłupiała kobieta ostrożnie zacisnęła na otrzymanym przedmiocie palce.

— Tylko nie próbuj chować jej za koszulę – rzucił ostro – w każdym razie nie przede mną.

Sierżant wyprostował się i wrócił do pilnowania wejścia, kończąc tym samym rozmowę. Umysł Frei krzyczał. Nie miała bladego pojęcia, co się właśnie wydarzyło. W porównaniu z sierżantem sen, w którym wyrzuca przed siebie tajemnicze przedmioty, był najlogiczniejszą rzeczą na świecie. Pchana czystą siłą woli ruszyła do przodu. Oglądany dotąd z dużej wysokości plac okazał się znacznie mniejszy, niż sobie to wyobrażała. Nie rozglądając się na boki, przyspieszyła kroku i minęła resztki stosu. Za nim znajdowały się dwa duże budynki z wąską, nieoświetloną uliczką pomiędzy nimi. Weszła w nią i stanęła na chwili w miejscu, czekając, aż oczy przywykną jej do mroku. Po paru metrach ujrzała skręt w lewo. Na końcu krótkiej alejki paliła się pojedyncza świeczka. Nie myśląc za wiele, ruszyła w kierunku słabego światła. Zatrzymała się kawałek przed nim, czując czyjąś obecność. Nagle rozległ się stłumiony śmiech.

— Jak ty kochana jesteś strażnikiem – usłyszała głos z trudem łapiącego powietrze człowieka – to ja jestem wieloryb! Schowałabyś chociaż włosy, już nie wspominając o obwisłych spodniach i za długich rękawach – przerwał, starając się powstrzymać rechot – naprawdę, najjałośniejsze przebranie, jakie w życiu widziałem. Oj, masz szcześnie, że większość straży odsypia wczorajszą noc.

Freja miała ochotę dać mu w twarz. Nie musiał tego aż tak brutalnie ujmować. Już miała zamiar wziąć zamach, gdy stojący przed nią nieznajomy w obronnym geście wyciągnął przed siebie rękę.

— Spokojnie, spokojnie – powiedział, odzyskując powoli opanowanie – już się z ciebie nie śmieję, ale naprawdę, gdybyś siebie teraz zobaczyła... jeszcze ta determinacja w oczach – widząc, że Freja zaczyna powoli szczyrzyć zęby, urwał swoją wypowiedź – dobrze, dobrze już się zamykam. Nie stójmy tu dłużej, bo ktoś na nas zwróci uwagę.

Zdmuchnął radośnie skaczący płomyk świeczki i powolnym krokiem ruszył przed siebie.

— No chodźże kobieto za mną – rzucił, widząc ciągle stojącą w miejscu Freję.

Przez następne minuty pokonywali labirynt pograżonych w całkowitej ciemności ciasnych alejek. W końcu stanęli przed wyjściem na większą, dobrze oświetloną ulicę.

— Poczekaj tutaj. Ta ściana, o którą się teraz opierasz to mój dom. Obok ciebie znajduje się boczne wejście. Wejdę frontem i ci otworzę. Zrozumiałas?

Freja kiwnęła głową i nieznajomy spokojnym krokiem wyszedł na ulicę. Choć nie czekała za długo, czas straszliwie się jej dłużył. Przemęczona nie była w stanie zapanować nad szalejącymi emocjami. Bała się, straszliwie się bała. Pierwszy raz była w mieście. Świadomość otaczających ją ludzi przerażała ją. Choć wiedziała, że to śmieszne nie potrafiła nic z tym zrobić. Do tego coraz bardziej bolała ją głowa. W końcu rozległ się cichy zgrzyt mechanizmu i kawałek muru powoli usunął się w głąb. Mężczyzna, który ostrożnie wyszedł ze środka, zastał Freję leżącą na ziemi, nieprzytomną.

Rozdział II

Miria obserwowała, jak jej mąż wchodzi do salonu z bezwładnym ciałem na rękach. Bez słowa przyglądała się, jak powoli pochyla się i ostrożnie kładzie je na ziemi. Nie zdziwiła się specjalnie, nie była to najdziwniejsza rzecz, jaką jej mąż przyniósł w nocy do domu.

— Kochanie – zapytała spokojnie – mam poszukać łopaty?

Abner wyprostował się i odetchnął głęboko, przecierając pot z czoła. Podeszedł do stojącego przy ścianie krzesła i usiadł na nim gwałtownie.

— Zabawne kotku, naprawdę – odparł słodkim głosem.

Oficjalnie Abner wraz z żoną byli szanowanymi kupcami. W rzeczywistości powszechnie wiadomo było, że sprzedawane przez nich towary pochodzą z przemytu. Wszyscy jednak radośnie korzystali z ich usług, zgodnie przysmykając na to oko.

— Pragnęłabym zauważyć, że przyniesiony przez ciebie przedmiot wyjątkowo śmierdzi, a położyłeś go na środku salonu – odezwała się Miria po dłuższej chwili przerwy – do tego z niezrozumiałego dla mnie powodu ma na sobie mundur straży.

Małżeństwem byli od trzydziestu lat. Zaczęli jako podrzędni przestępcy, ale ciężką pracą udało im się wzbic na wyżyny czarnego półświatka. Dzięki odpowiednim znajomościom zdobyli pozwolenie na otworenie sklepu w dzielnicy handlowej miasta.

— Umyjesz ją? – zapytał z nadzieją w głosie Abner, patrząc na leżące na ziemi nieszczęście.

— Ją? To coś jest płci żeńskiej? – zapytała ze szczerym zdziwieniem w głosie.

— Też cię kocham kotku – odparł Abner – To jak, umyjesz to? – westchnął głęboko, słysząc, co powiedział – To znaczy ją.

Obecnie nikogo nie dziwiło, że zakupiona w ich sklepie zdobiona waza nie miała nigdzie wybitego znaku cechu. Oczywiście zdarzali się ludzie, którym ich działalność wyjątkowo przeszkadzała. Tacy ludzie jednak szybko odkrywali, że większość urzędników miejskich była regularnie opłacana hojnymi darowiznami, a straż co roku zamawiała u Abnera broń i mundury po wyjątkowo okazjnych cenach. Miria wstała z fotela i podeszła do leżącej na ziemi Frei. Przyglądnęła się jej z każdej strony, krzywiąc się przy tym teatralnie.

— Jakiś konkretny powód, dla którego jest nieprzytomna? – zapytała.

— Zemdlął pod drzwiami. Wydaje mi się, że ma gorączkę.

Kobieta przykucnęła i ostrożnie położyła rękę na czole Frei.

— Wydaje ci się, że ma gorączkę – wymamrotała do siebie, po czym ponownie

się wyprostowała i spojrzała na męża – zanieś ją do łaźni, a jak skończysz, to biegnij po doktora Mordekaia i nie, nie obchodzi mnie, że go nie lubisz, i że jest noc, i że będziesz musiał go budzić, i że będziesz musiał z nim rozmawiać. To nie ja przynoszę do domu nieprzytomne, śmierdzące, chore, niedorobione strażniczki, i kim do cholery ona w ogóle jest?

— Pamiętasz wiedźmę, którą wczoraj chcieli spalić? – zapytał, uśmiechając się.

Miria spojrzała na niego zrezygnowanym wzrokiem. Nie, żeby ją szczególnie zaskoczyła odpowiedź, wręcz przeciwnie, spodziewała się czegoś dziwniejszego.

— Wiesz co? Nie kończ nawet. Jak Mauricio będzie dźgał cię rozżarzonym prętem, to ja będę stała obok. Trzymając w ręku drugi pręt, śmiejąc się.

* * *

Abner szybkim krokiem szedł ulicą pogrążonego w mroku miasta. Zastanawiał się, jakim cudem udało się dwóm strażnikom namówić go na przygarnięcie ściganej przez inkwizycję kobiety. Wczoraj podeszli do niego, gdy siedział w karczmie, odpoczywając od obecności żony i tak po prostu zapytali, czy pomoże im wywieźć z miasta „*przyjaciółkę*”. Mógł ich zwyczajnie przegonić, lecz zaintrygowany zrobił im miejsce i poprosił, by usiedli i opowiedzieli mu całą historię. I tak od słowa do słowa, rozbawiony strażnikami knującymi plan uwolnienia pilnowanego przez nich więźnia, zgodził się. Westchnął cicho, stając przed drzwiami domu Mordekaia. No cóż, teraz przyszło zmierzyć się z konsekwencjami tamtej chwili bezinteresowności. Zapukał parę razy i odsunął się, czekając na reakcję. Doktor Mord, jak dobrodusznie nazywali Mordekaia pacjenci, był lekarzem specjalizującym się w szyciu ran ciętych, wyciąganiu wbitych strzał oraz dyskrekcji. Pomagał każdemu o każdej porze pod warunkiem, że było go na to stać. Po chwili rozległy się ciche kroki i w drzwiach pojawiła się stojąca w zakrwawionej białej szacie postać.

— Abner! – powiedział zdziwiony – co może cię sprowadzać?

— Przeszkodziłem ci w czymś? – zapytał, patrząc na czerwone krople powoli opadające z trzymanego w ręce lekarza cienkiego noża.

— W sumie właśnie skończyłem – odparł – wejdź do środka i się rozgość.

Abner zamknął za sobą drzwi i rozglądał się po sterylnie czystym gabinecie. Poza paroma stojącymi pod ścianami regałami jedynym meblem był umieszczony pośrodku masywny stół. Obecnie leżało na nim ciało młodej kobiety ze świeżym szcieniem na brzuchu. Abner spojrzał na jej twarz i z przerażeniem ją rozpoznał.

— Mordekai – krzyknął do znajdującego się pomieszczenie obok lekarza – co na twoim stole robi okrwawione ciało córki Baronowej?

— Zabawne nie? – odpowiedział zza ściany – okazało się, że jestem jedną osobą w mieście umiejacą wyciąć ślepą kiskę. Baronowa najwyraźniej do ostatniej chwili szukała jakiegoś lekarza o lepszej reputacji. Przynieśli ją do mnie trzy godziny temu w krytycznym stanie. Ledwo udało mi się wyratować biedną dziewczynę.

Mordekai ponownie wszedł do gabinetu przebrany już w czysty fartuch z waderkiem wody w ręku. Podeszedł do nieprzytomnej pacjentki i ostrożnie zaczął ją obmywać z krwi.

— No mów co cię sprowadza – powiedział, mocząc biały ręcznik w wodzie.

Abner spojrzał z niedowierzaniem na lekarza. Owszem, zawsze wiedział, że ten człowiek żył w trochę w innym świecie, ale aż tak?

— Chcesz mi powiedzieć – zaczął – że tak po prostu zostawili ją u ciebie, bez żad-

nej obstawy? Córkę najpotężniejszej osoby w mieście? Samą na łaskach złowrogięgo lekarza? W samym środku nocy?

— Teraz gdy to mówisz, rzeczywiście wydaje się to być trochę dziwne... – odpowiedział zamyślony.

Abner zaśmiał się cicho w myślach. Wydawało się mu to być TROCHĘ dziwne. Było jednak już i późno był zmęczony, postanowił więc nie zaprzętać sobie głowy nieistotnymi szczegółami.

— Dobrze, nieważne. Słuchaj, moja hmm... córka ma wysoką gorączkę i jest nieprzytomna.

Ręka lekarza zamarła w bezruchu. Po chwili ciszy podniósł czerwoną już szmatkę i zaczął ją płukać w wodzie.

— A ile lat ma twoja... córka? – zapytał powoli.

— Bo ja wiem? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia sześć?

— Jakiejś rozległe rany? Utrata krwi? Nie wierzę, żebyś biegł do mnie w nocy z powodu gorączki jakiejś... to znaczy twojej córki.

— Miria kazała mi po ciebie iść – odparł Abner krótko – mówiła też coś o nagłym, nieprzewidywalnym i bezterminowym opóźnieniu dostaw twoich zamówień.

Mordekai w ciszy skończył oczyszczać pacjentkę, po czym przykrył ją kocem. Sprawdził jeszcze puls i przez chwilę wsłuchiwał się w jej oddech. Upewniwszy się, że wszystko z nią w porządku podszedł do drzwi i ze stojącego przy nich wieszaka zdjęć prosty czarny płaszcz.

— Cóż zrobić – powiedział, ubierając się – Jak twoja małżonka każe, to trzeba iść.

* * *

— To jak się ma cudowne znalezisko mojego kochanego męża? – zapytała Mira z przekąsem.

Mordekai przez chwilę nie odpowiadał, zastanawiając się co powiedzieć. Odchylił do tyłu głowę i wpatrzył się w sufit.

— Nie wiem – powiedział krótko – jest przeziębiona, niedożywiona i wycieńczona, ale jest coś jeszcze, i to coś mi się nie podoba.

Małżeństwo wpatrzyło się w lekarza, czekając na jakieś dalsze informacje, ten jednak siedział nieruchomo, błędząc gdzieś myślami.

— Chciałbym ją wziąć do siebie na dalszą obserwację – powiedział w końcu – chociaż dopóki nie odzyska przytomności. Będzie z tym jakiś problem?

— Pomijając fakt, że ściga ją inkwizycja? Nie, raczej nie – rzuciła Miria, leniwie mieszając herbatę.

Zaległa kolejna chwila niezręcznej ciszy.

— Wiedźma? – zapytał cicho Mordekai, przypominając sobie rozszalałych strażników przetrząsających wczoraj miasto.

— Wiedźma – odpowiedzieli mu zgodnie małżonkowie.

Lekarz powoli wstał z miejsca i podszedł do leżącej na podłużnej kanapie Frei. Rozpalona oddychała nierówno. Zastanowił się co dalej zrobić.

— To jak, bierzesz ją? – zapytał Abner, stając obok – średnio wiem jak się opiekować nieprzytomnymi ludźmi.

— Jak inkwizycja wparuje do mojego gabinetu, to wiedźma będzie najmniejszym zmartwieniem – powiedział, nie odrywając wzroku od swojej nowej pacjentki

– Słyszałem, że oni krzywo się patrzą na rozcinanie ludzi w celach medycznych.

— Masz nagły atak bezinteresowności, czy ci zapłacić? – zapytał Abner – To pierwsze jest ostatnio niesamowicie popularne.

Mordekai uśmiechnął się szeroko. W sumie dotąd nie zastanawiał się, dlaczego stary kupiec pomagał chorej, ściganej przez inkwizycję kobiecie.

— No nie, przecież nie mógłbym być gorszy od ciebie – odpowiedział – zresztą zawsze mogę doliczyć trochę do zapłaty za twoją następną wizytę – zamyślił się na chwilę – Jak ją przetransportujemy? Nie mam noszy. Poza tym ktoś mógłby ją rozpoznać.

— Wrzucicie ją do taczki i przykryjecie kawałkiem materiału – rzuciła ciągle siedząca przy stole Miria – żartowałam – dodała, widząc ich miny – naprawdę żartowałam!

* * *

Mordekaia obudził głośny krzyk. Przetarł oczy i wstał z krzesła, na którym najwyraźniej wczoraj usnął. Rozespanymi jeszcze oczyma szybko rozejrzał się po swojej małej sypialni. Jego wzrok zatrzymał się na łóżku, na którym leżała Freja. Nie, ona ciągle była nieprzytomna, kto inny musiał krzyknąć. Nagle z przerażeniem przypomniał sobie o córce baronowej. Dwoma długim susami podskoczył do drzwi gabinetu i gwałtownie je otworzył. Operowana wczoraj dziewczyna siedziała przerażona na niedomytym do końca stole. W sumie to miała powód, by krzyczeć. Przyzwyczajona do wygody młoda arystokratka obudziła się nagle w obcym miejscu, na pokrytym zakrzepłą krwią stole. Widząc stojącego w drzwiach Mordekaia, zaczęła gwałtownie nabierać powietrza, przygotowując się na kolejny wrzask. Lekarz jednak szybko do niej podskoczył i zakrył ręką usta. Musiał ją natychmiast uspokoić. Wolną rękę położył jej na ramieniu i siłą położył ponownie na płask.

— Nie wolno ci wstawać! – krzyknął – ani tym bardziej krzyczeć!

Szybko zorientował się, że jego słowa nie pomagały w uspokojeniu przerażonej dziewczyny. Usunął rękę z jej ust i szybko przycisnął jej kolana do stołu. Nie mógł pozwolić, by zaczęła wierzeć nogami.

— Posłuchaj mnie! – wrzasnął, patrząc jej w oczy – nie możesz wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Przeszłaś ciężki zabieg i otworzysz sobie rany. Jestem lekarzem, przyniesiono cię do mnie w nocy, nieprzytomną. Rozumiesz? Musisz się natychmiast uspokoić!

Z ulgą poczuł, jak mięśnie przyciśniętej dziewczyny powoli się rozluźniają. Powoli rozluźnił chwyt i upewniając się, że nie wykona żadnego nagłego ruchu, całkowicie odsunął rękę.

— Pójdę po jakieś ubranie, po czym przeniesiemy cię w jakieś wygodniejsze miejsce – powiedział, ponownie przykrywając ją zrzucenym na ziemię kocem – zrozumiałaś?

Niepewnie kiwnęła głową, przyglądając się ubranemu w biały fartuch mężczyźnie. Mordekai nie był szczególnie stary, szczerze mówiąc, był stosunkowo młody. Do miasta przybył niecałe sześć lat temu jako świeży absolwent akademii medycznej. Bez żadnych pieniędzy ani znajomości szukał sponsora, który umożliwiłby mu zakup narzędzi oraz otworzenie gabinetu. Nikt jednak nie ufał młodemu lekarzowi pochodzącemu z biednej rodziny. Wtedy przyszedł do niego Abner i zaproponował mu wypełnienie pewnej niszy na rynku medycznym. Tak rozpoczął swoją niesław-

ną karierę jako doktor Mord. Przydomka nie zyskał jednak jedynie dzięki imieniu. Wysoka i szczupła postać lekarza z lekko maniakalnym spojrzeniem i luźno opadającymi czarnymi włosami idealnie pasowała do rysopisu psychopatycznego mordercy. Mordekai widząc, że jego pacjentka leży nieruchomo, wrócił do sypialni. Spojrzał na nieprzytomną Freję i westchnął zrezygnowany. Miał tylko jedno łóżko. No cóż, córka Baronowej na pewno nie wiedziała, jak wygląda ścigana przez pół miasta wiedźma. Będą musiały obie zmieścić się w jednym łóżku, przynajmniej póki nie pożyczą od kogoś drugiego. Jego pacjenci rzadko przebywali u niego dłużej niż parę godzin i nie był przygotowany na goszczenie kogokolwiek. Ostrożnie odsunął Freję na skraj łóżka i podszedł do szafy, aby znaleźć jakieś ubranie dla leżącej w gabinecie dziewczyny. To, w czym ją przyniesiono, do niczego się nie nadawało. Zastanowił się, jak arystokracja mogła w ogóle spać w niewygodnych, ciasno opinających ciało piżamkach z bufiastymi rękawami. Po chwili przeczucia łachów wyciągnął prostą jednoczęściową tunikę, w której czasem spał podczas lata. Co prawda była za duża, ale chociaż łatwo było ją założyć na leżącą osobę. Szybkim ruchem złożył ją w pół i wrócił do gabinetu. Dziewczyna trzymała ręką skraj koca i lekko go unosząc, obłąkanym wzrokiem przyglądała się szyciu na swoim brzuchu. Westchnął ponownie. Powolnym krokiem podszedł do niej i przykucnął, zrównując swoją głowę z poziomem stołu.

— Jak ci na imię? – zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał względnie ciepło.

Na jej twarzy zauważył napływające powoli do oczu łzy. Najwyraźniej jego obecność nie pomagała załagodzić sytuacji.

— Proszę cię, tylko nie płacz – powiedział błagalnie – patrz, przyniosłem ci ubranie.

Dziewczyna przekreśliła lekko głowę i spojrzała na czarną szmatę trzymaną przez Mordekai'a w ręce. Zastanowiła się przez chwilę czy nie powinna się rozeźmiać.

Lekarz ostrożnie pomógł jej w założeniu ubrania, po czym uśmiechnął się mimowolnie. Dostojna córka Baronowej owinięta dwukrotnie za dużą szatą nocną wyglądała komicznie. Przyglądając się jej, stwierdził, że była całkiem niebrzydka. Młodsza o parę lat od Frei była niższa od niej o ponad głowę. Nagle wymyślił co zrobić, by poprawić jej nastrój. Szybkim krokiem podszedł do stojącego pod ścianą regału i ściągnął z niego niewielkie lustro. Nadawało się idealnie. Uniósł je nad głowę dziewczyny. Kąciki jej ust drgnęły mimowolnie, gdy przyjrzała się swojemu odbiciu.

— Leokadia – wyszeptała w końcu niepewnie.

Lekarz uśmiechnął się, słysząc jej głos. Niestety jego uśmiech nie należał do ludzi budzących zaufanie, lecz bardziej do psychopatycznych socjopatów.

— Ja nazywam się...

— Mordekai – dokończyła za niego szeptem dziewczyna.

Lekarz westchnął cicho i odłożył na stół trzymane w rękach lustro. No cóż, widać nawet młode arystokratki znały obłąkanego lekarza-samozwańca trudniącego się łataniem złodziei i morderców.

— Przenieśmy cię lepiej na łóżko – powiedział, podnosząc ją z ziemi.

— Co mi zrobiłeś? – zapytała cicho, podczas gdy lekarz stawiał ostrożnie kolejne kroki.

— Hmm... usunąłem pewną... jakby to powiedzieć... zbędną część, która u ciebie powodowała silne bóle i doprowadziłaby do nieprzyjemnej śmierci – widząc, że niesiona dziewczyna patrzy mu w oczy, kontynuował – teraz musisz przez parę dni

poleżeć, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, aby dać swojemu ciału czas na regenerację.

Zamilkł, stając przed łóżkiem, po czym delikatnie ułożył Leokadię obok nieprzytomnej Frei. Wreszcie mógł mieć chwilę spokoju.

— Mordekai – szepnęła lekko nerwowym głosem.

— Tak?

— Dlaczego obok mnie leży złapana przez inkwizycję wiedźma? – zapytała spokojnie.

Lekarz podszedł do krzesła i usiadł na nim zrezygnowany. Odchylił do tyłu głowę, spoglądając na sufit. Miał już lekko dosyć tego poranka.

— Bardzo ci to przeszkadza? Możemy o tym porozmawiać, jak już, powiedzmy, coś zjem? – zapytał z nadzieją.

Leokadia niepewnie kiwnęła głową. Odetchnął z ulgą i podniósł z nocnego stolika miszek z pieniędźmi.

— To idę na targ kupić jedzenie – powiedział, opuszczając sypialnię – jeżeli to możliwe postaraj się trochę przespać – krzyknął, będąc już przy drzwiach.

Słyszając trzask zamykanych drzwi, dziewczyna zaciśnęła kurczowo ręce na kołdrze. Nie wyobrażała sobie, jak w takiej sytuacji mogła po prostu usnąć. Wycieńczony psychicznie i fizycznie organizm jednak po paru minutach dał za wygraną i rzeczywiście usnęła.

* * *

Leokadię obudził ostry zapach ziół. Ostrożnie otworzyła oczy i ujrzała leżącą obok wiedźmę. Starsza zaledwie o parę lat kobieta nie wyglądała specjalnie groźnie. Czarne włosy splecione były w jeden nierówny warkocz, a na osłoniętym czole leżał złożony wielokrotnie mokry ręcznik. Nagle nad Leokadią wyrosła postać Mordekai. Dziewczyna przestraszyła się i szybko zamknęła oczy, udając, że nadal śpi. Lekarz ostrożnie zdjął kompres z głowy Frei i schylił się, zanurzając go w leżącej na ziemi misce z wodą.

— Jak się czujesz? – zapytał, prostując się – dasz radę napić się czegoś?

Leokadia ponownie otworzyła oczy i przyjrzała się, jak Mordekai układa ociekający wodą ręcznik na czole leżącej obok kobiety. Niepewnie kiwnęła głową. Powoli uniósł jej plecy, opierając je o ścianę, po czym podał jej do rąk stojący pod łóżkiem blaszany kubek. Dziewczyna patrzyła, jak lekarz oddala się i siada przy znajdującym się po przeciwnej stronie pomieszczenia stole. Na blacie rozstawione były dziesiątki małych szklanych naczyń. Mordekai wziął do ręki niewielki tłuczek i zaczął ostrożnie ucierać zawartość ceramicznego móździejza. Oderwała od niego wzrok i zadrżała do otrzymanego naczynia.

— Co to jest? – wyszeptwała.

— Woda – powiedział, nie odrywając wzroku od móździejza – czysta, przegotowana woda ze studni.

Dziewczyna ostrożnie przechyliła kubek i jednym łykiem wypila jego zawartość. Mordekai na chwilę przestał kręcić tłuczkiem i spojrzał na jej twarz, obserwując jej reakcję. Spodziewał się od młodej arystokratki słów protestu, krzywienia się i nierealnych żądań, lecz ta powoli i bez słowa odstawiła puste już naczynie. Choć starała się być opanowana i spokojna, wewnątrz niej ciągle szalała panika. Oddychała spokojnie, starając się nie myśleć o sytuacji, w której się znalazła. Próbowwała

przypomnieć sobie słowa jakiejś wesołej piosenki, gdy ponownie podszedł do niej lekarz. Mimowolnie drgnęła i skuliła się lekko, przywierając ciałem do ściany.

— Spokojnie, nic ci nie zrobię – powiedział, najłagodniej jak potrafił – patrz, zrobiłem lekarstwo dla twojej nowej koleżanki – dodał, ukazując zawartość przyniesionego ze sobą moździerza.

Przykucnął przy łóżku i wolną ręką ostrożnie rozchylił jej usta. Wlał do środka oleistą ciecz, po czym lekko uniósł jej głowę.

— Na szczęście jest na tyle przytomna, by odruchowo przełykać – powiedział, powoli układając ją na poduszce – wszystko co mogę dla niej teraz zrobić to starać się zwalczyć gorączkę. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Leokadia rozluźniła trochę napięte mięśnie. Chciała zadać tysiące pytań, lecz aktualnie nie mogła się na to odważyć. Przełamała się w końcu.

— Dlaczego... dlaczego obok mnie leży ścigana przez inkwizycję wiedźma? – wyszeptała, starając się zachować spokojny ton.

Lekarz zachichotał cicho. Z wszystkich możliwych rzeczy to ją interesowało najbardziej. No cóż, w sumie nie dziwił się jej. Zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią. Nie mógł po prostu powiedzieć, że w nagłym przypływie bezinteresowności zabrał ją od Abnera.

— Z tego, co mi wiadomo, to uciekła z więzienia, po czym nagle straciła przytomność – zaczął powoli – poproszono mnie, żebym się nią zaopiekował i się najwyraźniej, sam nie wiem czemu, zgodziłem.

— Dlaczego? – zapytała po chwili ciszy.

— Dlaczego uciekła? Wydaje mi się, że chcieli ją zabić. Dlaczego straciła przytomność? Nie wiem. Dlaczego jej pomogłem? Jak ostatni raz sprawdzałem, to byłem lekarzem, który pomagał każdemu, nieważne kim on był.

— Jak ten ktoś zapłaci – dodała, najciszej jak potrafiła.

Mordekai westchnął głośno. Tragiczną opinię o nim miała ludność miejska. Wolną ręką złapał pusty kubek i się wyprostował.

— Planuję iść do twojej rodzinki poinformować ich, że wszystko z tobą w porządku – powiedział, odchodząc od łóżka – więc zostaniesz sama na parę godzin z groźną wiedźmą obok siebie. Swoją drogą dziwi mnie, że nikt się jeszcze po ciebie nie zgłosił. Przespałaś pół dnia, zbliża się już wieczór.

Leokadia spuściła wzrok i o ile to możliwe, posmutniała jeszcze bardziej. Odwrócony tyłem Mordekai tego jednak nie zauważył.

— W każdym razie wygrzebałem gdzieś z którejś szafki książkę, która z dużym prawdopodobieństwem nie jest o medycynie – kontynuował – szczerze mówiąc, średnio wiem skąd ją mam, a tym bardziej nie wiem, o czym jest, ale chyba lepsze to niż patrzeć się w sufit, prawda?

Rzucił niewielką książkę dziewczynie na kolana, po czym opuścił sypialnię. Leokadia szybko podniosła głowę, chcąc coś krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Ponownie spuściła wzrok i spojrzała na leżący na jej kolanach przedmiot. Tytuł „*Opowieść czterech zimowych nocy*” rzeczywiście nie brzmiał, jakby miał zawierać w sobie jakąkolwiek wiedzę medyczną. Powoli podniosła książkę i nie przyglądając się okładce, otworzyła ją. Jej dotychczasowa przygoda z literaturą była ograniczona to tomików wyjątkowo słabych wierszy oraz nudnych romansów, przez co pełna walk, krwi i zwrotów akcji opowieść szybko ją pochłonęła. Z wypiekami na twarzy czytała coraz szybciej i szybciej, zapominając o otaczającym ją świecie.

Główny bohater właśnie zawierał tymczasowy sojusz z pewnym smokiem¹, gdy ktoś zapukał trzykrotnie do drzwi. Dziewczyna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, nie przerywając czytania. Pukanie po chwili powtórzyło się, po czym rozległ się stłumiony odgłos przekręcanego zamka. Leokadia zareagowała dopiero na ciche kroki rozbrzmiewające w pokoju obok. Opuściła książkę i spojrzała na powoli wchodzącą do sypialni osobę. Z przerażeniem ujrzała przed sobą starszą kobietę, ubraną w szerokie szare spodnie oraz brązową kamizelkę. Leniwie podrzuciła niewielkim wytrychem, jednak gdy ujrzała utkwiony w siebie wzrok Leokadii zastygła w miejscu. Mały metalowy przedmiot z cichym brzdękiem upadł na ziemię.

— Młoda baronowa? – wykrztusiła – co ty do cholery robisz w domu Mordekaia?

Trzymając na wpół opuszczoną książkę, dziewczyna tępo wpatrywała się stojącą przed nią kobietę. Choć było to praktycznie niemożliwe, wydawało się jej, że ją zna. Wyobraziła sobie nieznajomą w galowej sukni, trzymającą w ręce kieliszek z winem oraz z niechętnie skrzywioną miną.

— Miria von Horoch? – zapytała, najciszej jak potrafiła.

— Wy tłumacz mi, dlaczego rano dostałam zaproszenie na twój pogrzeb? – powiedziała, ignorując pytanie i zamilkła, podczas gdy jej umysł przeprowadził szybką analizę zaistniałej sytuacji – gdzie Mordekai? – krzyknęła, wyobrażając sobie pewien przerażający ciąg wydarzeń – proszę, tylko nie mów, że poszedł do twojej kochanej matki.

Leokadia opuściła głowę, starając się nie patrzeć w oczy stojącej przed nią kobiety.

— Dlaczego go nie powstrzymałaś! – krzyknęła – jak myślisz, co zrobi twoja kochana matka? – zamilkła widząc łzę spływającą z policzka lekko trzęsącej się dziewczyny.

— Próbowałam – wyszeptała drżącym głosem.

Miria westchnęła cicho. Biorąc pod uwagę sytuację, w której znalazła się młoda arystokratka, nie mogła do niej mieć za wiele pretensji. No i tak była pod wrażeniem, że była w stanie zachować względny spokój.

— Jak dawno poszedł – zapytała już łagodniejszym głosem – może zdążyć go jeszcze zatrzymać.

Po chwili zastanowienia Leokadia złapała palcami gruby plik przeczytanych stron i spojrzała żalonym wzrokiem w oczy Miri. Ta usiadła na krześle i odchyliła do tyłu głowę. Było już za późno na cokolwiek, pozostawało czekać na dalszy rozwój zdarzeń.

* * *

Posiadłość baronowej obejmowała znaczną część miasta. Na obszarze wielkiego ogrodu znajdował się pałac oraz dwa osobne budynki dla służby. Mieszkało tu i pracowało ponad czterdzieści osób. Baronowa dawała zatrudnienie całym oddziałom ogrodników, kucharzy oraz sprzątaczek. Starsza już arystokratka była wdową. Jej jedyny mąż zmarł rok po ślubie, zostawiając ją z ogromnym majątkiem i z nowo narodzonym dzieckiem. Choć zdarzyło się to już szesnaście lat temu, to po mieście nadal krążyły plotki, że niespodziewana śmierć barona była starannie zaplanowana. Baronowa była bowiem wyjątkowo chciwą i żądną władzy kobietą, a śmierć małżonka dała jej znacznie szersze pole manewru. Jako jedyna przedstawicielka jednego z najstarszych i najbogatszych rodów, miała znaczący wpływ na politykę królestwa.

¹ brzmi ciekawiej od niniejszego tekstu, prawda?

Nawet Wielka Inkwizycja musiała się liczyć z jej zdaniem. Mordekai zbliżył się do wysokich, kamiennych bram posiadłości. Stał parę metrów przed dwoma uzbrojonymi w halabardy strażnikami i zastanowił się co powiedzieć. Mężczyźni wpatrywali się w niego badawczym wzrokiem. Na sobie mieli lekkie kolczugi, ubrane bezpośrednio na długie, sięgające do kostek, czerwony płaszcz z wielkim herbem pośrodku. Z nieznanego nikomu powodów herb rodziny baronowej składał się z trzech długich sztyletów wbitych w zielone jabłko.

— Przepraszam – zaczął w końcu, jednak szybko przerwał, widząc uniesioną rękę jednego ze strażników.

— Nazywacie się Mordekai, prawda?

Lekarz potwierdzająco kiwnął głową.

— Proszę chwilę poczekać – powiedział, po czym podał swoją halabardę koledze i w akompaniamencie pobrzękiwania kolczugi wbiegł na teren posiadłości.

Po chwili strażnik wrócił, przyprowadzając ze sobą dostojnie ubranego, mocno podstarzałego mężczyznę. Odebrał pozostawioną halabardę i ponownie stanął wyprostowany na swoim stanowisku. Starzec wyjął zza koszuli dwa małe mieszki i rzucił po jednym każdemu ze strażników.

— Witam doktora – odezwał się, odwracając się w stronę lekarza – mogę poprosić byśmy przed dalszą rozmową, oddalili się od tego miejsca?

Starzec, nie czekając na odpowiedź, powolnym krokiem ruszył przed siebie. Po paru minutach, gdy opuścili najbogatszą część miasta i weszli w zatłoczoną i głośnieździelnicę handlową, ponownie się odezwał.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie chciałem z doktorem rozmawiać przed pałacem. Nazywam się Owidiusz i jestem nauczycielem młodej panienki Leokadii. Zanim przejdziemy do dalszej rozmowy, proszę powiedzieć co z moją podopieczną. Żyje?

— Żyje, jej życiu nie zagraża żadne większe niebezpieczeństwo – powiedział Mordekai, idąc powolnym krokiem obok drobnego starca.

— Chwała niebiosom – wyszeptał Owidiusz, przystając na chwilę w miejscu – teraz proszę mnie uważnie wysłuchać. Panienka znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Mieli doktora o niej poinformować ludzie, którzy przynieśli doktorowi w nocy panienkę, ale podobno wygonił ich doktor, mówiąc, że jak zaraz nie opuszczą doktora gabinetu, to panienka umrze.

Mordekai nie odezwał się, potwierdzając tylko słowa starca skinieniem głowy. Rzeczywiście nie był wtedy wyjątkowo wylewny.

— Jak doktor pewno doskonale wie, metody, które doktor stosuje, kłócą się trochę z doktryną Wielkiej Inkwizycji, a moja Pani robi wszystko, by mieć z nimi jak najlepsze stosunki. Jakby dowiedziała się, że na jej córce przeprowadzono nieboski zabieg, natychmiast wydałaby ją Mauricio na spalenie.

— Własną córkę? – zapytał zdziwiony lekarz – W takim razie, po co ją do mnie w ogóle wysłała, od razu było trzeba ją na stos wrzucić.

— No właśnie w tym rzecz, że nie wysłała jej do doktora. Szczerze mówiąc, to choroba panienki nawet ją ucieszyła – starzec zamilkł i przez chwilę szli w ciszy, mijając niemałe tłumy ludzi. Skręcili w jedną z mniejszych alejek, oddalając się od tętniącej życiem części miasta – panienka cierpiała z dnia na dzień coraz bardziej. Moja Pani naturalnie wezwała z dwóch czy trzech lekarzy, jednak żaden z nich nie zdziałał nic konstruktywnego. Raz nawet zaszczyciła skracającą się z bólu córkę swoją obecnością. Byłem przy tym. Nie potrafiła całkowicie ukryć lekkiego uśmiechu zadowolenia.

— Rozumiem, że istnieje dla tego jakiś powód? – zapytał milczący już od jakiegoś czasu Mordekai.

— Od kiedy to ludzie potrzebują powodów do nienawiści? – twarz Owidiusza wykrzywił paskudny uśmiech – Może przypomina jej o mężu? Nigdy nie odważyła się jednak jej pozbyć – zmienił ton na bardziej formalny – ale wróćmy do obecnych wydarzeń. Pewna pracująca u nas służąca obudziła mnie wczoraj w nocy. Powiedziała mi, że dwa lata temu jej brat cierpiał na podobną przypadłość. Uratował go wtedy niesławny doktor Mord. Opisała mi, na czym polegał zabieg i zrozumiałem, dlaczego nikogo wcześniej o tym nie poinformowała. Już sama opowieść o nim, poślyszana przez nieodpowiednie uszy, mogła stać się wyrokiem śmierci dla niej i jej brata. Niewiele myśląc, natychmiast obudziłem paru przychylnych panience służących i poprosiłem ich, by znieśli ją do doktora. Rano poinformowałem moją Panią, że panienka nie przeżyła nocy i zapłaciłem odpowiednim ludziom odpowiednie kwoty pieniędzy, by sprawa nigdy nie wyszła na jaw.

Mordekai zamyślił się na chwilę. Nigdy nie potrafił zrozumieć pobudek, którymi kierowała się arystokracja, o Wielkiej Inkwizycji już nie wspominając.

— Więc Leokadia oficjalnie nie żyje. Nie, żeby mi to jakoś specjalnie przeszkadzało, ale jak nie może wrócić do swojego pałacu, to co dalej z nią będzie?

Owidiusz zaśmiał się nerwowo. Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

— Zgodziłby się doktor, by na razie została u doktora? Zapewniłby jej pan jednocześnie niezbędną opiekę medyczną.

Mordekai westchnął cicho. Nie miał zamiaru brać sobie na głowę kolejnego problemu, z którym nie wiadomo co zrobić. Czym mogła zająć się była arystokratka w wieku lat szesnastu? Jedna odpowiedź nasuwała się natychmiast, ale nawet nie chciał jej brać pod uwagę. No cóż, stary Owidiusz namieszał, to niech teraz cierpi. Okrutny doktor Mord nie mógł przecież pomagać losowo napotkanym osobom. Westchnął ponownie, uświadamiając sobie, że podjął już decyzję.

— No dobrze, zaopiekuję się nią – powiedział powoli.

Starzec rozpromienił się i serdecznie uściśnął mu rękę.

— Doktor wybaczy, ale muszę wracać do pałacu, zanim zorientują się, że mnie nie ma. W niedalekiej przyszłości spróbuje się jakoś z doktorem skontaktować.

Owidiusz odwrócił się i szybkim krokiem odszedł, zostawiając lekarza samego w jednej z bocznych uliczek niedaleko posiadłości baronowej. Mordekai uświadomił sobie, że prawdopodobnie już nigdy w życiu nie ujrzy na oczy ani Owidiusza, ani pieniędzy za wykonany zabieg i długoterminową opiekę. Uświadomił sobie też, że właśnie dał sobie wcisnąć szesnastoletniego rozpieszczonego bachora, prawdopodobnie z mocno nadwyżrzoną psychiką.

— Cholera jasna – krzyknął, uderzając pięścią w ścianę.

Przecież nie mógł wyrzucić jej na ulicę, mówiąc „*baw się dobrze*”. Przemierzał miasto w paskudnym nastroju, gdy wpadł na genialny pomysł. Gdy wiedźma wreszcie się ocknie, odda jej dzieciaka, niech go zabierze w cholerę. Tak to było dobrym rozwiązaniem, pozostawał problem wybudzenia wiedźmy. Na pewno w któreś z książek znajdzie opisane podobne objawy, w końcu tysiące ludzi na świecie zajmowało się medycyną. Stał przed swoim mieszkaniem i przyjrzał się mu. Stojący samotnie na skraju rzeki niski, murowany budynek nie miał specjalnie masywnych drzwi. Nikt nie był na tyle głupi, by włamywać się do domu jedyne go lekarza trudniącego się łataniem złodziei. Z przechodzącej nad drzwiami rynny wygrzebał mały klucz i przekręcił zamek. Wszedł do środka, rzucił, bardziej niż odłożył, płaszcz na wie-

szak i poszedł prosto do sypialni zobaczyć co u jego współlokatorów. Leokadia leżała oparta o ścianę tak jak ją zostawił, ciągle czytając książkę.

— Witaj dziewczę ty moje, co u naszej więdźmy? – zapytał spokojnie.

Z rąk dziewczyny wypadła książka. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że obok niej ktoś stoi. Obróciła głowę i spojrzwała na lekarza.

— Dowiedziałam się paru ciekawych rzeczy – kontynuował – po pierwsze oficjalnie nie żyjesz, po drugie matka cię nie kocha, po trzecie nikt mi najprawdopodobniej nie zapłaci – zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy nie powiedział tego trochę za brutalnie – ach, i twój nauczyciel to kawał starej szui, ale najwyraźniej cię lubi. Pośrednio przyniósł cię tu w nocy, mistyfikując przy tym twoją śmierć.

Oszołomiona dziewczyna wzięła parę głębokich oddechów. Milczała przez dłuższą chwilę.

— Co się ze mną teraz stanie? – szepnęła ostrożnie.

— Jak na razie zostaniesz u mnie. Osobiście mam nadzieję, że jak nasza więdźma w końcu się ocknie, to cię ze sobą gdzieś zabierze. Nie chciałabyś być uczennicą więdźmy? Na pewno będziesz się przy tym świetnie bawiła.

Rozdział III

Minął długi i ciężki tydzień. Leokadia stała w małej łazience z nożyczkami w rękę. Wpatrywała się w swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. Musiała przyznać, że otrzymane od Mirii ubrania leżały na niej nie najgorzej. Surowej, prostej sukni daleko było do bogato zdobionych szat. Odkryła jednak, że specjalnie za nimi nie tęskniła. Zaciśnęła zęby i na bezdechu paroma szybkimi ruchami ścięła krótko swoje włosy. Oddychając głęboko, przyjrzała się swojej twarzy i ujrzała spływającą po policzku łzę. Zaśmiała się nerwowo. Tyle rzeczy wydarzyło się wokół niej, a ona zapłakała dopiero nad włosami. Nożyczki wypadły jej z ręki i z głośnym brzdękiem uderzyły o ziemię, zagłuszając na chwilę cichy szloch.

— Nie wygłupiaj się – usłyszała zza drzwi – odrosną.

Uspokoila się, ocierając rękawem łzę i podniosła z ziemi małą butelkę. Przyjrzała się gęstej brązowej cieczy. Przybliżyła do nosa odkorkowane naczynie i pociągnęła nosem. Krzywiąc się, stwierdziła, że waczenie barwników było w ogólności złym pomysłem. Ostrożnie wylała trochę na głowę i zaczęła wcierać we włosy. Monotonną czynność przerwał jej głośny okrzyk bólu. Nie zraziła się jednak tym specjalnie. Przez ostatnie siedem dni zdążyła się już przyzwyczaić. Umyła w misce ręce i usiadła pod ścianą, czekając, aż barwnik wnuknie we włosy. Dzisiaj miała pierwszy raz od dawna wyjść na miasto. Choć ta myśl dodawała jej trochę otuchy, daleko jej było do szczęścia. Policzyła w myślach do tysiąca i podeszła do miski, umyć włosy. Nie śpieszyła się, starannie pozbywając się oleistej cieczy. Gdy wreszcie wytarła głowę w ręcznik, ponownie spojrzała w lustro. Wątpiła, by ktokolwiek ją poznał, sama miała z tym problemy. Odwróciła wzrok, nie chcąc dłużej na siebie patrzeć i wyszła z łazienki. Na jej łóżku leżała nadal nieprzytomna Freja. Mordekai poświęcał cały swój wolny czas na próby jej wybudzenia. Jak na razie wszystkie skończyły się niepowodzeniem. Wyminęła rozłożony na ziemi śpiwór i szarpnęła za klamkę od drzwi gabinetu. Lekarz kończył właśnie szyc rozległą ranę na plecach groźnie wyglądającego oprycha. Dwie głowy powoli przekreśliły się w jej stronę i poczuła na sobie badawcze spojrzenia.

— Przedstawiam ci moją bratanicę, Leokadię – powiedział Moredekai, powoli wracając do przerwanej czynności – z jakiegoś powodu zostałem wrobiony w mieszkanie z nią, póki czegoś albo kogoś sobie nie znajdzie.

Zarośnięty olbrzym uśmiechnął się do niej paskudnie. Jej kontakt ze światem zewnętrznym po tygodniu izolacji zaczynał się fantastycznie. Gdy się dłużej nad tym zastanowiła, to tak naprawdę po szesnastu latach izolacji.

— No, skończyłem – powiedział Mordekai, odcinając nić – jak będzie się cokolwiek z raną działo, to bezzwłocznie przyjdź do mnie. Za dwa tygodnie zdejmę ci szwy.

— Dziękować doktorowi – rzucił pacjent, wstając.

— No, a teraz wynocha z mojego domu, zanim całkowicie przesiąknie twoim odorem.

Oprych spojrział na skrajnie chudą postać lekarza i uśmiechając, skierował się w stronę wyjścia. Trzasnęły drzwi i lekarz zanurzył ręce w misce z wodą.

— No, to za jakieś cztery godziny całe miasto będzie wiedziało, że mieszka u mnie bratanica – powiedział, strzepując wodę z dłoni – a teraz podejdź, przyjrze się ci.

Leokadia nieśmiało podeszła do lekarza i poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Złapał kosmyk jej włosów i potarł go w palcach, sprawdzając, czy barwnik się trzyma. Okrążył ją dokoła, po czym dokładniej przyjrzał się twarzy.

— Jak tam brzuch, nadal boli? – zapytał w końcu.

— Do cholery powiedz, jak wyglądam, a nie pytaj jak się czuję – krzyknęła, aż ściany zadrżały¹.

Mordekai zaśmiał się, zdejmując z siebie zabrudzony krwią fartuch i usiadł na krześle.

— Żaden ze mnie znawca piękna – powiedział, uśmiechając się – przydad się lepiej do czegoś i posprzątaj gabinet. Jak skończysz, wyjdziemy na miasto i pokażę ci jak trafić na targ.

* * *

Owidiusz leżał na chłodnej podłodze lochu, cierpliwie czekając na swój koniec. Z trudem podniósł okrwawianą rękę i przyjrzał się jej. Zaśmiał się cicho, uważając, by nie brać przy tym za głębokich oddechów. Łapówki najwyraźniej okazały się zbyt niskie. Ktoś go musiał sypnąć. Niesamowite co ból robił z człowiekiem. Szanse przeżycia jego wychowanki gwałtownie przez to zmalały. Nie skreślał jej jednak jeszcze. Zostawił ją kompetentnych rękach.

* * *

Sierżant siedział w swoim gabinecie. Wziął łyk skonfiskowanego alkoholu, otwierając jedną z szuflad swojego biurka. W środku leżał spory mieczek pieniędzy i anonimowa „prośba”. Oba te przedmioty pojawiły się w jego gabinecie parę dni po schwytaniu wiedźmy. Zresztą, jaka tam z niej wiedźma, przecież był przy tym, jak ją złapano. Zwykła złodziejka uciekająca ze skradzioną książką. Książką zapełnioną niezrozumiałymi dla niego znakami. Rozwinął mały świstek i ponownie przeczytał jego zawartość.

„Drogi Sierżancie Straży Miejskiej, zwracamy się z uprzejmą prośbą o umożliwienie naszej drogiej przyjaciółce ucieczki. Będzie nam niezmiernie przykro, jeżeli splotnie na stosie, na dowód czego zostawiony skromny podarek. Z poważaniem, Gildia.”

Krzywiąc się, wrzucił notkę do ognia. Ta sprawa ciągle nie dawała mu spokoju. Wszystko zaczęło się dwa miesiące temu. Mauricio kazał straży otoczyć i strzec jed-

¹ Dovahkiin, fah hin kogaan mu draal!

na z placówek inkwizycji. Zakon twierdził, że tego dnia planowała ich okraść gildia złodziei. Co zrobić, wziął swoich ludzi i wypełnił rozkaz. Placówka położona była w środku lasu, oddalona o dobrą godzinę od miasta. Tamtej nocy siedział sobie spokojnie schowany w krzakach, gdy nagle z pilnowanego wejścia wystrzeliła ubrana na czarno sylwetka. Po dłuższej pogoni jednemu z jego ludzi udało się postrzelić ją w plecy. Podszedł do niej wtedy jako pierwszy. Okazała się całkiem młodą kobietą, w rękach kurczowo ściskającą niewielką czerwoną książkę. Gdy spojrzał właśnie na tę cholerną książkę, stało się coś trudnego do wytłumaczenia. Słyszając bliżej nieokreślony, niemy rozkaz wyciągnął ją z rąk złodziejki i schował za pancerzem. Tak oto nikt nigdy nie dowiedział się, co ukradła. Po paru tygodniach widząc, w jakim stanie przekazano ją straży, podejrzewał, że inkwizycja dołożyła sporo starań, by spróbować z niej wyciągnąć. Podejrzewał też, że bezskutecznie. Czując się niebezpośrednio winnym za męki, których musiała doświadczyć, postanowił jej pomóc. Sierżant westchnął głęboko. Jednym łykiem opróżnił szklanekę i zamknął szufladę. Nie było co nad tym dalej rozmyślać. Złodziejka, jak ją nazwali... Freja, zniknęła i wraz z nią zniknęła książka. Teraz trzeba było o wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

* * *

— Mordekai, co to za dziewczyna się za tobą włóczy? Chyba nie zmusiłeś jakieś młódki, by była twoją żoną? Muszę przyznać, że masz ciekawy gust.

Lekarz westchnął, parząc na sprzedawczynię. Czy każda spotkana dzisiaj osoba musiała mówić to samo? Leokadia przez to nie przestawała się czerwienić.

— Tak Dagno, bardzo zabawne, ale jesteś już trzydziestą osobą mówiącą mi ten sam dowcip i zrobił się on już naprawdę nudny. A teraz daj mi kilogram kaszy.

Dagna spojrzała agresywnie na Leokadię.

— Kim jesteś? – rzuciła w nią niczym kamieniem.

— Daj mojej bratanicy spokój, poczwaro jedna. Pierwszy raz w mieście jest.

* * *

Liwia od czterech lat pracowała jako służąca Baronowej. Było stosunkowo młodą, jeszcze nie zamężną kobietą z brakiem perspektyw na przyszłość. Nie narzekała jednak. Praca nie była najcięższa, a miała zapewnione wygodne miejsce zamieszkania oraz syte posiłki. Siedziała w kuchni, pomagając kucharkom w obieraniu ziemniaków. Plotkowały przy tym w najlepsze.

— Co się stało z Owidiuszem? – zapytała nagle – nie widziałam starucha od paru dni.

— Podobno po śmierci panienki wyjechał z miasta w nieznaną.

— Ja słyszałam, że zwariował i skoczył do klifu z morza! Albo do morza z klifu. Jakoś tak.

— Czekać – przerwała im Liwia – czyli nikt z was go nie widział?

— Nie – powiedziały razem.

Obok pracujących kobiet przechodził szef kuchni i słysząc ich rozmowę, nachylił się i dorzucił swoje trzy grosze.

— Ja, moje drogie panie słyszałam, że oskarżono go o przeprowadzanie magicznych rytuałów i teraz gnije gdzieś w lochach – podkuczył ręce i skrzywił się, udając umierającego człowieka.

Liwia położyła na ziemi nóż i gwałtownie wstała. Zrzuciła z siebie fartuch i pocąc się na twarzy, odwróciła się w stronę drzwi.

— Wybaczenie mi, przypomniałam sobie, że muszę zrobić coś bardzo ważnego – powiedziała drżącym głosem i rzuciła się biegiem w stronę drzwi.

Wiedziała, wiedziała, że nie powinna była wspominać Owidiuszowi o jej bracie i doktorze, który go wyleczył. Biegiem mijała kolejne korytarze, kierując się w stronę wyjścia z posiadłości. Żeby tylko zdążyła ich ostrzec.

* * *

Leokadia weszła do największego sklepu, jaki dotąd widziała. Rozglądnęła się po pomieszczeniu, wadząc wzrokiem po najróżniejszych towarach.

— W czym mogę pomóc? – rozległ się cichy głos.

Dziewczyna ujrzała stojącą przed nią Mirię. Nagle zrozumiała, dlaczego Mordekai chciał, by weszła do środka sama.

— Zwiedzam miasto – powiedziała, starając się zmienić się swój głos – i przyjaciel powiedział mi, że koniecznie muszę oglądnąć towary w tym sklepie.

Miria przez chwilę wydawała się przekonana, po czym spojrzała przenikliwie w oczy Leokadii. Wybuchła gwałtownym śmiechem.

— Wybacz – powiedziała, ocierając łzy – to nie dlatego, że wyglądasz zabawnie – wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić – gdzie nasz pocciwy doktor?

— Przed drzwiami – powiedziała, dając się Leokadia.

* * *

Mauricio przechodził właśnie przez ogród posiadłości Baronowej, gdy przebiegła obok niego młoda służąca. Przez sekundę spotkały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę i popatrzył, jak na złamanie karku dobiega do bramy. Co go jednak interesowały sprawy służby? Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Baronowa wezwała do siebie inkwizycję, więc postanowił pofatygować się do niej osobiście. Ciekawiło go, co tym razem wymyśliła ta obłąkana kobieta.

* * *

Leokadia szła uśmiechnięta przed lekarzem, starając się samodzielnie trafić z powrotem do swojego nowego domu. Trochę błędzili, ale ostatecznie dotarli do celu. Z daleka ujrzeni kobietę opierającą się rękoma o ich drzwi. Cała czerwona na twarzy oddychała ciężko.

— Coś pani dolega? – krzyknął Mordekai, przyspieszając kroku.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na podchodzące do niej sylwetki. Jej wzrok zatrzymał się na Leokadii. Poznała ją.

— Zdążyłam – wysapała – Baronowa... wie – przerwała, starając się złapać oddech – musicie... uciekać.

— Przepraszam, ale o czym pani mówi – zapytał spokojnie lekarz.

— Owidiusz... złapani... tortury... – Liwa z wysiłkiem wyrzucała z siebie pojedyncze słowa.

Uśmiechnięta twarz Leokadii wykrzywiła się w przerażeniu, gdy rozpoznała znaną jej służącą. Mordekai nie był jednak człowiekiem skłonny do paniki. Stał, chwilę myśląc intensywnie, po czym skierował wzrok na dyszącą kobietę.

— Wiesz gdzie mieszka kupiec Abner? – zapytał ją spokojnie i gdy ta kiwnęła głową, kontynuował – zaprowadź do niego Leokadię i wytłumaczycie mu sytuację. Będę czekał przy wschodnim wyjściu z miasta. Teraz muszę spakować jeszcze parę rzeczy.

Liwia podeszła do ciągle sparaliżowanej ze strachu dziewczyny i pociągnęła ją za rękę. Lekarz zostawił kobiety na zewnątrz i sprężystym krokiem wszedł do swojego gabinetu. Z najwyższej szafy ściągnął swoją starą torbę podróżną i zaczął ją pakować. Wrzucił do środka kilka noży, mieszek z pieniędzmi, krzesiwo z hubką, mały blaszany garnek, dwa koce oraz trochę jedzenia, które nadawało się do zabrania. Przechodząc wokół gabinetu, skompletował zestaw najczęściej używanych ziół i medykamentów i wypełnił nimi wolne miejsce. Zarzucił wypełniony bagaż na plecy i wkroczył do sypialni. Nie mógł zostawić wiedzy na łasce inkwizycji. Owinął ją białym prześcieradłem, po czym uniósł na rękach. Na szczęście nie ważyła zbyt wiele. Wyszedł z domu i ruszył w stronę wschodniej bramy miasta. Uśmiechnął się pod nosem. Miał już serdecznie dosyć łatania oprychów. Nareszcie szykowała się jakaś zmiana.

* * *

Abner otworzył drzwi i spojrzął na dwie dyszące kobiety pod jego progiem. Jedna, znacznie młodsza od drugiej wydawała się mu być znajoma.

— Tak? – zapytał, przypatrując się im.

— Panie Abner, to jest Leokadia, ona panu wszystko powie, ja muszę iść, zanim ktokolwiek mnie pozna – Liwia wyrzuciła z siebie słowa na bezdechu, po czym szybkim krokiem odeszła.

Starszy kupiec zamrugał oczyma, starając zrozumieć, co się dzieje. Zamyślił się, spoglądając na pozostawioną pod jego drzwiami krótkowłosą dziewczynę. Leokadia...

— Panie Abner – zaczęła drżącym głosem.

Ach, ta Leokadia! Poznał ją dopiero po głosie.

— Inkwizycja prawdopodobnie w tej chwili wchodzi do domu Mordekaia – kontynuowała – sam Mordekaii czeka na mnie przy wschodniej bramie miasta.

— Czekaj, CO? – zapytał tępo Abner.

Dopiero teraz zorientował się, że dziewczyna była całkowicie przerażona i z trudem wydobywała z siebie głos.

— Wejść do środka – powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu – coś wymyślimy.

* * *

Szprota podbiegł do Mauricio i stanął wyprostowany.

— Melduje, że dom jest pusty – powiedział, szybko wyrzucając z siebie słowa – w środku panuje straszny nieporządek. Sądzę, że ktoś ostrzegł podejrzanych i pakowali się w pośpiechu.

Wielki Inkwizytor przewrócił oczyma. Nic ostatnio nie chciało być proste.

— No to go gońcie, chyba od tego jesteście – powiedział kwaśno – ucieczka tylko dowodzi winy.

Ludzie coraz dziwniej się na niego patrzyli. Nie można było im się dziwić, od kilkunastu minut stał w miejscu obok opartego o mur ciała-podobnego przedmiotu. W końcu zdarzyło się nieuniknione i podszedł do niego jeden z pilnujących bram strażników. Spojrzał Mordekaiowi w oczy i wskazał palcem na owiniętą w białe prześcieradło Freję.

— Co to jest? – zapytał krótko.

Lekarz wyprostował się leniwie, powoli przenosząc spojrzenie na znacznie niższego od siebie mężczyznę.

— Nie podchodziłbym bliżej – powiedział, uśmiechając się – ta osoba zmarła na wyjątkowo paskudną chorobę.

Strażnik wykonał gwałtowny krok do tyłu, krzywiąc się przy tym wymownie.

— To dlaczego tu stoicie? – krzyknął – zabierzcie to coś stąd, zanim kogoś zarazi!

— Spokojnie, czekam tu na transport, by wywieźć to truchło z dala od miasta – odpowiedział spokojnym i opanowanym głosem – jest to konieczne, by zaraza się nie rozprzestrzeniła.

Strażnik ponownie przyglądał się lekarzowi. Po chwili odszedł i szybkim krokiem powrócił na swoje stanowisko. Mordekai ponownie oparł się o mur i z oddali obserwował, jak mężczyzna opowiada o odbytej rozmowie swoim kolegom. Najwyraźniej mu uwierzyli, co lekarza lekko rozbawiło. Zaczynał się już jednak niecierpliwić. Nie mógł tu stać wiecznie, a Leokadii ciągle nigdzie nie było widać. W końcu pod bramę podjechał niewielki zaprzęgnięty w jednego gniadego konia wóz. Lejce trzymała mała postać starannie zakryta szarym płaszczem. Spojrzał na krótkie brązowe włosy i westchnął cicho. Ładniej było jej w długich blond. Ostrożnie schylił się i uniósł do góry owiniętą w prześcieradło Freję. Po przytarganiu jej tu spod domu bolały go wszystkie mięśnie. Podszedł do wozu i z ulgą ułożył na nim ładunek. Usiadł obok Leokadii i dał jej znak, by ruszyła do przodu. Strażnicy bez słowa przepuścili ich i wóz spokojnie wyjechał z miasta.

— I co teraz? – zapytała Leokadia, gdy odjechali od bram na bezpieczną odległość.

Lekarz nie odpowiadając, przeszedł na tył wozu i zaczął odwijać Freję z prześcieradła. Zastanawiał się co z nią zrobić. Nie był w stanie zapewnić jej niezbędnej opieki w takich warunkach. Nie chciał jednak teraz o tym wspominać dziewczynie.

— Jak przyspieszymy, to na noc dojedziemy do pierwszego rozdroża – powiedział, patrząc pustym wzrokiem na wiedźmę – jeżeli dobrze pamiętam stoi tam mała gospoda. Zastanowimy się nad tym, jak tam dojedziemy.

„*I prawdopodobnie tam zostawimy naszą nieprzytomną przyjaciółkę*” – pomyślał. Jej przyszłość nie malowała się w najpiękniejszych kolorach. Czuł, że zawodzi w swojej roli lekarza. Oderwał od niej wzrok i wrócił na swoje miejsce obok Leokadii. Nie było co o tym dalej rozmyślać. Postanowił szybko zmienić temat.

— Umiesz powozić – zapytał?

— Przecież to nie jest takie trudne – odparła.

Na tym zakończyła się rozmowa. Siedzieli obok siebie, jadąc w całkowitej ciszy, oboje pogrążeni w czarnych myślach.

* * *

Liwia podeszła po cichu do szefa kuchni. Stał do niej odwrócony plecami, zajęty krojeniem marchewki.

— I jak, załatwiłaś to, co musiałaś tak nagle załatwić? – zapytał z przekąsem.

— Przepraszam – powiedziała cicho – ale to naprawdę była wyjątkowa sytuacja.

Szef odłożył nóż i odwrócił się, by przyglądać się jej twarzy. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym powrócił do krojenia.

— Wyglądasz jak kupa nieszczęścia. Chyba rzeczywiście sytuacja była wyjątkowa, więc wyjątkowo przymknę na to oko – przerwał, by dać Liwii chwilę na okazanie radości – ale zmywasz po kolacji. Sama.

* * *

— Czekajcie, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – powiedział Mauricio, patrząc na strażnika, którego przyprowadził ze sobą Szprota – jakieś sześć godzin temu widziałeś niejakiego doktora Mordekaja, jak opuszczał miasto z zawiniętym w prześcieradło ciałem.

— Tak wasza Ekscelencjo – odparł strażnik, zastanawiając się, jak Wielki Inkwizytor mógł nie zrozumieć czegoś tak prostego.

Mauricio przekreślił głowę i spojrzał obłąkanym wzrokiem na Szprotę.

— To w takim razie, dlaczego nie wysłaliście jeszcze za nimi pościgu? – zapłakał na skraju załamania nerwowego – Pomijając już, dlaczego w ogóle wypuściliście go z miasta i dlaczego ustalenie tego faktu zajęło wam sześć godzin.

Strażnik chciał coś powiedzieć, ale Szprota go powstrzymał. Na pewne pytania nie należało udzielać odpowiedzi.

— Osobiście się za nimi udam, wasza Ekscelencjo – odpowiedział i szybkim krokiem odszedł, pociągając za sobą kolegę.

Mauricio stał przez chwilę, zgrzytając zębami. Baronowa ucieszy się, gdy ten diabelski doktor ucieknie z jej córką. Będzie mogła wypominać to inkwizycji latami. Jakby tylko zakon przydzielił mu więcej ludzi, a nie kazał użerać się z piekielną strażą miejską.

* * *

Chłodne krople deszczu rytmicznie uderzały w jej twarz. Zaciskając zęby, powoli uniosła plecy. Nieużywane od dawna mięśnie natychmiast zaprotestowały. Oślepiiona bólem z trudem skupiła wzrok na oświetlonym słabym światłem księżyca otoczeniu. Drzewa rozmywały się jej w oczach. Poruszała się, i to szybko. Wszystko wydawało się jej jakieś znajome. Pogrążony w ciemności las, deszcz, szaleńczy bieg. Przeżywała to już kiedyś. We śnie? Ujrzała trzy postacie na koniach. Zbliżały się do niej, jedna trzymała w ręce naciągnięty łuk. Zamknęła oczy, nie chciała, by ją dogoniły. Nagle obok jej ucha rozległ się głośny świst i następujący po nim przeszywający okrzyk bólu. Przerażona otworzyła oczy i powoli uniosła rękę, zatrzymując ją na wysokości klatki piersiowej. Czas zwolnił, ciągnąc się i przelewając leniwie. Bała się. Rozprostowała palce dłoni i powoli opadające krople wody stanęły w miejscu. W jednej chwili niezliczone ilości elektronów przesunęły się w jedną stronę, zmieniając swoje orbity. Poczynając od chmur, poszczególne cząstki powietrza zaczęły gwałtownie jonizować się, tworząc cienki, zmierzający ku ziemi tunel. Czas ponownie ruszył do

przodu i nocą zawładnął grzmot uderzającego w ziemię piorunu. W oslepiającym świetle zdążyła jeszcze ujrzyć spadające z koni sylwetki. Ręka opadła jej bezwładnie i całe ciało poleciało do tyłu.

* * *

Mordekai nie mógł oderwać wzorku od leżącej nieruchomo sylwetki wiedźmy. Nie wiedział, czego właśnie był świadkiem, ale nie teraz był czas nad tym rozmyślać. Szybko odwrócił głowę w stronę drogi i złapał lejce. Wstrzymał bieg konia, nie było już po co uciekać. Parę minut temu Leokadia pogoniła biednego zwierzaka. Chciał jej wtedy powiedzieć, że uciekanie wozem nie miało najmniejszego sensu, ale nie miał serca tego zrobić. Teraz dziewczyna leżała ze strzałą w plecach, mamrocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Wyteżył wzrok i spróbował przyjrzeć się ranie. Nie wyglądała na śmiertelną. Po chwili zastanowienia ponownie popędził konia. Może nie było po co uciekać, ale w takich warunkach nie mógł jej pomóc. Gospoda, w której mieli się zatrzymać, mogła być za każdym zakrętem. Godzinę później ujrzał odległe światło, słabo migoczące pomiędzy drzewami. Podjechał pod niewielki drewniany budynek i ciągle trzymając Leokadię na rękach, zeskoczył na ziemię. Podszedł do drzwi i zapukał z całej siły. Z wnętrza wydobywała się radosna muzyka wraz z głośnymi, wieczornymi rozmowami. Rozległy się kroki i w przejściu pojawił się starszy mężczyzna. Spojrzał na przemoczoną postać lekarza, nie wiedząc co powiedzieć.

— Zaatakowali nas bandyci i potrzebujemy pomocy – powiedział Mordekai, desperacko starając się zachować spokojny ton głosu.

Gospodarz przekrzywił głowę i przyjrzał się strzale sterczącej z ciała trzymanej na rękach dziewczyny. Wisząca nad drzwiami pochodnia oświetliła ją na tyle dobrze, by mógł ujrzyć kapiącą z rany krew.

— Zapłacimy – kontynuował – wyjedziemy, jak tylko mała będzie zdatna do dalszej podróży.

Mężczyzna westchnął cicho. Oczywiście, że pomoże rannej dziewczynie, nawet gdyby nie zapłacili mu złamanego grosza, przecież nie był potworem.

— Proszę wejść do środka, ja zajmę się koniem – powiedział – o zapłacie pomówimy później.

Mordekai nagle przypomniał sobie o drobnym, dość ważnym, szczególe. Wypadało o nim wspomnieć.

— Na wozie leży jeszcze jedna kobieta. Jest nieprzytomna – po chwili zastanowienia dodał – taką mam w każdym razie nadzieję.

— W sensie, nadzieję, że nieprzytomna, a nie nieżywa, czy nieprzytomna, a nie przytomna? – zapytał gospodarz, stając w połowie drogi do wozu.

— Szczerze? To chyba jedno i drugie – odpowiedział, przypominając sobie odlatujących na boki strażników. Ciekawiło go czy którykolwiek z nich przeżył.

— Dobrze, przyniosę ją. Pan niech lepiej zajmie się dziewczyną. Pomoże panu moja żona.

Lekarz szybko wszedł do gospody, zamykając za sobą drzwi. Znalazł się w wypełnionym ludźmi pomieszczeniu. Siedzący w kącie grajek gwałtownie urwał w połowie utworu i po chwili jedynym słyszalnym dźwiękiem było miarowe kapanie z przemoczonych ubrań Mordekaia. Rozległ się cichy pomruk bólu półprzytomnej Leokadii i z jednego z krzeseł wstała kobieta w wieku zbliżonym do wieku gospodarza.

— Proszę za mną – powiedziała, kierując się do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia.

* * *

Sulim ostrożnie poruszył palcami po strunach lutni. Pojedyncze nuty rozbrzmiały ciepło w niewielkim pomieszczeniu, przerywając ciągnącą się już od dłuższego czasu ciszę. Otaczający go ludzie, słysząc ponownie rozpoczętą melodię, powrócili do nieoczekiwanego przerwanych rozmów. W końcu w ruch poszły karty i kufle, przywracając atmosferę do jej pierwotnej, wesołej, formy. Po paru minutach muzyk skończył grać i odchylił do tyłu głowę. Miał nadzieję, że nagrał się już wystarczająco dzisiejszego wieczoru, by opłacić swój pobyt. Do gospody przybył ze cztery godziny temu i był zmęczony całodzienną podróżą. Postanowił udać się na spoczynek, gdy ponownie otworzyły się drzwi. Z deszczowej nocy do środka wkroczyła przemoczona postać gospodarza. Jednak to nie na niej skupił się wzrok Sulima, tylko na niesionej przez niego kobiecie. Wpatrując się w nią, muzyk nie mógł złapać oddechu. Wychudzona i blada na twarzy nie wyglądała specjalnie atrakcyjnie, ale było w niej coś nietypowego, coś wyróżniało ją od reszty świata.

— Niech ktoś mi pomoże – krzyknął gospodarz, ciągle stojąc w drzwiach – plecy mnie bolą i nie dam rady dalej jej nieść.

Sulim chciał zerwać się z miejsca i pośpieszyć z pomocą, ale z zaskoczeniem odkrył, że nie mógł się poruszyć. Siedząc sparaliżowany, patrzył jak jeden z gości, drobny kupiec zmierzający do miasta, wstaje i zabiera nieprzytomną kobietę z rąk gospodarza. Dwaj mężczyźni, po krótkiej rozmowie, oddalili się, zabierając Sulimowi z oczu obiekt jego fascynacji. Muzyk jeszcze przez długi czas siedział nieruchomo, ciągle wpatrując się przed siebie. Ocułała go dopiero gospodyni, szturchając go lekko w ramię.

— Panie muzyk, wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona, patrząc w jego nieobecne oczy.

Sulim rozglądnął się po pomieszczeniu i z przerażeniem stwierdził, że nikogo już w nim nie było.

— Nie wiem – odparł cicho.

Podniósł z podłogi lutnię, którą najwyraźniej udało mu się w którymś momencie upuścić, i chwiejnym krokiem udał się do swojego pokoju.

* * *

Ocknął się zwrócony twarzą w stronę nocnego nieba. Spojrzał w rozmazane przez deszcz gwiazdy i usiłował przypomnieć sobie, co się stało oraz kim właściwie był. Czuł zimne krople deszczu na całym ciele, lecz nie słyszał ich. W jego głowie rozbrzmiewało jedynie miarowe dzwonienie. Podniósł z ziemi rękę i badawczo obmacał swoje ciało, sprawdzając, czy niczego nie brakuje. Ostrożnie poruszył nogami i w końcu zdecydował się podnieść. Krzywiąc się, spojrział wokół siebie i gwałtownie zakręciło mu się w głowie. Utrzymał jednak równowagę i po chwili powróciły do niego zdarzenia sprzed paru godzin. Wraz z dwoma kolegami ścigał jakiegoś lekarza. Oddali strzał, jego zdaniem całkowicie niepotrzebny, przecież mieli konie i bez problemu zatrzymaliby uciekający wóz. Właśnie, mieli konie, co się z nimi stało? Wykonał krok do przodu i potknął o się o coś, upadając twarzą w błoto. W ten sposób znalazł swojego konia, leżącego na ziemi, całkowicie nieżywego. Podniósł się

z powrotem na nogi i ostrożnie ruszył przeszukać okolicę. Całkiem szybko znalazł drugie zwierze i przygniecione nim kolegę.

— Hej, żyjesz? — powiedział, szturchając go w ramię i z przerażeniem stwierdził, że nie słyszy własnego głosu. Co gorsze przygniecione ciało nie oddychało.

Drugiego strażnika znalazł leżącego pod drzewem, równie martwego. Szprota zaklął siarczyście, bezskutecznie starając się przekrzyczeć wszechobecne dzwonienie. Stał na środku drogi i zastanowił się co zrobić. Parę godzin dogi stąd była mała gospoda, w której mógł poprosić o pomoc, był jednak zbyt obolały, by się gdziekolwiek udać. Pozostało poczekać do rana, aż ktoś będzie przejeżdżał obok. W takim deszczu nie było mowy o rozpalaniu ogniska. Usiadł więc pod największym drzewem w zasięgu wzroku i zaczął oczekiwać końca ulewy, bądź wschodu słońca, cokolwiek nadejdzie pierwsze. Ucieszył się, że miał na sobie ciepły skórzany pancerz. Przed wyjazdem nigdzie nie mógł znaleźć swojej koczugi. To proste zarządzanie losu uradowało mu tę noc żyć.

* * *

Biegła co sił, słysząc za sobą krzyki ścigających ją ludzi. Musiała uciekać, nie mogła dać się złapać. Zaciśnęła zęby, starając się nie zwracać uwagi na krew kapiącą z rany na prawej ręce. Wymijanie rozmazanych w deszczu przeszkód stawało się coraz trudniejsze. Nie narzekała jednak, noc zapewniała jej w gęstym lesie namiastkę schronienia. Nagle przypomniała sobie, że kiedyś już przeżywała te zdarzenia. Tak w ogóle to, kim była? Co robiła? Dlaczego uciekała? Jej wzrok na chwilę padł na lewą rękę. Zorientowała się, że kurczowo ściska w niej małą książkę. Tę książkę też skądś знаła. Dostała ją od kogoś... w przyszłości? Nie, jak mogła wiedzieć o czymś, co się jeszcze nie wydarzyło? Nagle czas spowolnił. Przypomniała sobie dalszą część tej nocy i nie chciała jej powtarzać. „*Uskocz w bok, uskocz w bok*” powtarzała w myślach, lecz mogła jedynie patrzeć, jak jej ciało leniwie wygina się, trafione od tyłu pojedynczą strzałą. Zapłakała, w duszy ponownie czując rozprzestrzeniającą się falę bólu. Trzymana książka wyleciała z ręki i zaczęła powoli poruszać się do przodu, przecinając zawieszane w powietrzu krople deszczu i krwi. Z jej oczu popłynęły łzy. Dlaczego musiała ponownie to przeżywać? W końcu zakończyła przeciągający się w nieskończoność upadek, uderzając w ziemię. Skrawkiem świadomości zdążyła jeszcze zarejestrować cichy dźwięk wpadającej do kałuży książki.

* * *

Otworzyła oczy, lecz szybko je zamknęła, oślepiona nieoglądanym od dawna słońcem. Zaczekała chwilę, aż w pełni odzyska świadomość i ponownie je otworzyła. Niewątpliwie miała nad sobą otwarte niebo. Spróbowała przypomnieć sobie ostatek zdarzenia, jakie pamiętała. Ostatnio dużo śniła, trudno było ustalić granicę pomiędzy snem a rzeczywistością. Na pewno uciekała z więzienia. Spotkała się z jakimś człowiekiem, który miał jej pomóc i poszła za nim. Dalej wszystko się urywało. Ostrożnie poruszyła wszystkimi kończynami. Nie usłyszała łańcuchów ani nie poczuła oporu. Nie była więc przykuta ani uwięziona. Spróbowała usiąść. W połowie ruchu mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa i z hukiem poleciała do tyłu. Nagle poczuła się straszliwie słaba. Dlaczego nie mogła nawet wstać? Po chwili zawisły nad nią dwie głowy. Pierwsza należała do mężczyzny, straszliwie chudego na twarzy. Wyglądała... oryginalnie. Druga należała do młodej dziewczyny. Błada na twarzy wyglądała, jakby

nigdy nie wychodziła na słońce. Miała paskudnie krótko obcięte włosy. Freja poczuła na sobie ich badawcze spojrzenia. Wyglądali na trochę zaniepokojonych, trochę przestraszonych i trochę szczęśliwych. Kiedyś chyba już ich widziała. We śnie? Nie, to przecież niemożliwe.

— Dzień dobry – powiedziała spokojnie – gdzie jestem? – odczekała chwilę, po czym dodała – kim jesteście?

Dwie głowy obróciły się i spojrzały na siebie. W końcu mężczyzna pomógł jej usiąść. Freja rozejrzała się po okolicy. Odkryła, że jechała na wozie. Chciała o coś zapytać, gdy jej wzrok padł na przykucniętą sylwetkę dziewczyny. Spod luźno zapiętej skórzanej kurtki wystawał biały bandaż. Starannie owijał okolice jej lewego ramienia. Miejscami był lekko zaczerwieniony. W umyśle Frei rozbrzmiał głośny krzyk, który najwyraźniej kiedyś słyszała. Zakręciło się jej lekko w głowie.

— Co ci się stało? – zapytała, sama nie wiedząc czemu.

Dwie postacie ponownie na siebie spojrzały.

— Jaka jest ostatnia rzecz, jaką pamiętasz? – zapytał po dłuższej chwili ciszy Mordekai.

— Uciekałam z więzienia. Jakiś mężczyzna przeprowadził mnie przez miasto. Dalej wszystko jest czarne.

— W takim razie od tamtego czasu minął już ponad tydzień. Byłaś nieprzytomna.

No cóż, pomyślała, najwyraźniej podtrzymywanie deszczu przez tak długi czas było wyjątkowo głupim pomysłem. Jej ciało w końcu nie wytrzymało.

— Może będzie to wyjątkowo niegrzeczne w aktualnej sytuacji – zaczęła – ale właśnie zorientowałam się, że jestem przeraźliwie głodna.

Lekarz kiwnął głową na znak zrozumienia. Złapał leżącą na wozie sakwę i wyjął ze środka bukłak z wodą oraz bochenek chleba. Nożem odkroił od niego dwie kromki.

— Będziesz w stanie sama zjeść? – zapytał, przyglądając się jej badawczo.

Freja dla próby poruszyła obolałymi palcami i kiwnęła głową.

— Wodę wypij całą, ale nieważne jak bardzo jesteś głodna, nie jedz więcej niż te dwie kromki. Zjedz je powoli, bardzo powoli, dokładnie przeżuając. Jak skończysz, spróbuj rozruszać wszystkie mięśnie. Nie śpiesz się za bardzo i na pewno nie próbuj jeszcze wstawać. Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam – odpowiedziała Freja, z wdzięcznością odbierając z rąk Mordekaia pożywienie.

Lekarz usiadł obok Leokadii, która już od jakiegoś czasu trzymała lejce. Oboje mieli niekreślony wyraz twarzy.

— Nic jej nie powiemy – zapytała szeptem?

— Wygląda na to, że nie pamięta wydarzeń tej nocy. Przebudziła się wtedy tylko na parę sekund, mogła nie być w pełni świadoma.

— Nie powinniśmy jej jednak o tym opowiedzieć? Widziałeś, jak się popatrzyła na moją ranę? Coś musi jednak pamiętać.

— Może masz rację, ale nie wiem, czy mówienie osobie, która po tygodniu odzyskała świadomość, że parę godzin temu zabiła trójkę ludzi, jest dobrym pomysłem. Trudno przewidzieć jak zareaguje.

Dziewczyna przypomniła sobie spadający z nieba piorun. Co prawda widziała go przez mgłę bólu, ale ten obraz wyjątkowo dokładnie utkwil jej w pamięci.

— Myślisz, że ci ludzie zginęli? – zapytała.

Lekarz ponuro kiwnął głową.

— Dzięki temu możemy nadal uciekać. Cokolwiek wtedy zrobiła, świadomie czy nie, uratowała nam tym życie – powiedział cicho – pozostaje nam tylko być jej wdzięcznym.

Jechali chwilę w ciszy, patrząc na ubitą setkami lat użytkowania drogę.

— Boję się jej – szepnęła w końcu Leokadia, najciszej jak potrafiła.

— Każdy by się bał – nie najumiejtniej pocieszył ją Mordekai.

— Nie wydaje mi się, żeby doktor się jej bał – powiedziała, patrząc na niego.

— Czemu miałbym się bać? Przed chwilą odbyłem z nią miłą rozmowę i wydała się wyjątkowo spokojną i dobrze wychowaną kobietą – zmienił ton na bardziej poważny – poza tym wyobraź sobie, że jesteś potężną i bezduszną wiedźmą, ciskającą gromy z nieba. Co byś zrobiła, gdyby wbrew twojej woli zamknęli cię w więzieniu?

Miał rację, co nie zmieniało faktu, że nadal bała się siedzącej z tyłu kobiety. Ponownie przypomniała sobie rozświetlone sylwetki strażników i zadrżała. Więc wiedźmy naprawdę istniały. Nigdy nie wierzyła w magię.

— Przepraszam, że wam przerywam rozmowę – wtrąciła nagle Freja – ale skończyłam jeść, po czym posłusznie rozruszałam wszystkie obolałe mięśnie. Mam parę pytań.

Leokadia z Mordekaiem odwrócili głowy i spojrzeli na siedzącą już o własnych siłach kobietę. Słaba i wychudzona postać nie wyglądała, jakby miała włączyć potężną magię.

— Moglibyście mi opowiedzieć, co się wydarzyło przez ostatni tydzień? – zapytała z nadzieją.

* * *

— Panie muzyk! – słowa poprzedzone lekkim szturchnięciem wyrwały Sulima ze snu. Otworzył oczy i uniósł się na łóżku. Obok niego stała gospodyni – jeżeli dobrze pamiętam, to wczoraj pan mówił, że chce pan z samego rano wyruszyć do miasta – kontynuowała spokojnie – nie chciałam pana wcześniej budzić, jako że wieczorem nie najlepiej pan wyglądał. Jest już grubo po południu.

Sulim ospale przetarł ręką oczy, budząc się ze snu. Wczoraj wydarzyło się coś ważnego, ale co? No tak, zobaczył tę kobietę i z jakiegoś powodu nie mógł od niej oderwać wzroku.

— Dziękuję – powiedział – dostałbym jakieś późne śniadanie? – dodał.

Starsza kobieta uśmiechnęła się serdecznie.

— Oczywiście, zaraz coś dla pana przygotuję.

Po tych słowach wyszła z małej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Sulim szybko spakował małą sakwę podróżną i zszedł z piętra. O tej porze w gospodzie było całkowicie pusto. Usiadł przy jednym ze stołów i po chwili gospodyni położyła przed nim miskę z kaszą oraz kufel piwa. Sulim westchnął cicho. Nie było to śniadaniem marzeń.

— Uda się pan teraz do miasta? – zapytała, siadając na krześle obok.

Najwyraźniej nudziło się jej. Wziął parę kęsów kaszy. W sumie to miał teraz okazję dowiedzieć się czegoś o kobiecie z wczorajszej nocy.

— Tak miałem w planach. Chciałem zarobić, grając w tamtejszych karczmach. W miastach zawsze dobrze płacą – odczekał chwilę i starając się utrzymać obojętny ton, zapytał – co to za ludzie wczoraj byli tutaj w nocy? Dwie kobiety i mężczyzna, jeżeli dobrze pamiętam.

— Ciekawa to historia, muszę przyznać – powiedziała, drapiąc się po głowie – mężczyzna twierdził, że jest lekarzem. Patrząc, jak umiejętnie opatrzył raną dziewczynę, to raczej nie kłamał. Natomiast ta druga kobieta pozostała nieprzytomna do samego końca.

— Co się z nimi stało? – zapytał pomiędzy kolejnymi ruchami łyżki, stając się nie zdradzić swojego zainteresowania tematem.

— Bez słowa odjechali o bladym świetle. Zapłacili jednak za pobyt ze sporą nadwyżką i poprosili, by sprzedać im trochę jedzenia.

— A w którą stronę się udali?

Gospodyni spojrzała spod łba na Sulima. To już nie zabrzmiało jak zadane w celu podtrzymania rozmowy pytanie.

— Planowałaś się udać do miasta, tak? Rozumiem, że plany te mogą ulec zmianie w zależności od mojej odpowiedzi?

Muzyk nieśmiało kiwnął głową.

— Ach, wy młodzi. Starsza czy ta młodsza? – zapytała, łagodząc trochę swoje przenikliwe spojrzenie.

— Starsza – odpowiedział krótko.

— Południowy wschód w stronę granicy. Mają wóz, więc masz słabe szanse ich dogonić. Zresztą co ja sobie język strzępię, no i tak spróbujesz.

— Dziękuję.

Sulim szybko dokończył posiłek i zarzucił na plecy sakwę. W stronę granicy zawsze jeździł jakiś kupiec, na pewno ktoś będzie przejeżdżał obok i zabierze go ze sobą. Ludzie najczęściej chętnie pomagali muzykom. Nawet bandyci byli często przyjaźnie nastawieni. Zabierali tylko połowę złota i dawali nawet prowiant na dalszą drogę.

— Uciekali straży miejskiej – rzuciła gospodyni, gdy Sulim stał już w drzwiach – straż w tym mieście jest pod ścisłą kontrolą inkwizycji, więc równie dobrze można powiedzieć, że ścigał ich zakon. Dwie godziny temu znaleziono strażników, co ich rzekomo ścigali. Dwóch nie żyje, trzeciego przywiezionego tutaj nieprzytomnego. Nikt nie wie co i jak ich zakatowało.

— Postaram się nie zginąć – odpowiedział Sulim, jeszcze raz dziękując.

— Prawidłowa odpowiedź młodzieńcze – krzyknęła, śmiejąc się, zanim zdążył zamknąć drzwi.

Spojrzał na słońce i bezceremonialnie ruszył przed siebie, kierując się na południowy wschód.

* * *

Opowiedzieli jej wszystko, łącznie z całą sytuacją, w której znalazła się Leokadia, lekko tylko zmieniając wydarzenia poprzedniego dnia. Straż nigdy ich nie dogoniła, a dziewczynę postrzelono jeszcze w mieście. Freja spokojnie wysłuchiwała całej opowieści i zamyśliła się, próbując połączyć ją razem ze swoimi snami.

— Wiecie, kim jestem – zapytała z nadzieją.

Odpowiedź znacznie by wszystko ułatwiła.

— A powinnymy? – odparł ostrożnie lekarz.

— Bo widzicie, problem jest taki, że ja nie wiem, kim jestem. Moje wspomnienia zaczynają się od obudzenia się w celi. Imię nadali mi strażnicy.

— Wiesz, chociaż czemu cię zamknęli?

— Pomijając tę oczywistą część z byciem wiedźmą? Wydaje mi się, że coś ukradłam, i to coś było książką. Nie wiecie nic o żadnej książce?

Nagle przypomniała sobie sierżanta straży. Dał jej coś. Zamyśliła się, chwilę siedząc w ciszy. Mordekai spojrzał pytająco na Leokadię, lecz ta pokręciła tylko głową.

— Niestety nie wiemy ani kim jesteś, ani nic nie słyszeliśmy o żadnej książce.

— A co się stało z mundurem straży, w którym uciekłam? – zapytała, przypominając sobie, jak chowa mały czerwony przedmiot w ubraniu.

— Nawet nie wiemy, że uciekałaś w mundurze straży. Spróbuj opowiedzieć nam wszystko, co pamiętasz, to może uda się coś ustalić – zaproponowała Leokadia.

Freja zwięźle przedstawiała im wydarzenia tamtej nocy. Powiedziała im o bra-ciach, ucieczce oraz o spotkaniu z sierżantem.

— W takim razie książka została w domu Abnera – stwierdził Mordekai po od-słuchaniu całości. Za nim Freja zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał – nikt ci nie będzie bronił udania się na samobójczą misję odzyskania jej, ale wyczekaj przynaj-mniej, aż odzyskasz siły. Książka spoczywa gdzieś na półce starego kupca i nigdzie stamtąd się nie ruszy. Obecnie nie zrobisz dwóch kroków bez przewrócenia się.

Freja spojrzała na surowy wyraz twarzy lekarza.

— Naprawdę tylko dwie kromki? Może trzecia nie zabije? – zapytała.

Mordekaiowi chwilę zajęło powiązanie pytania z wątkiem sprzed ponad godziny. Bez słowa odkroił jej trzecią kromkę chleba. Popatrzył się na niezwykle groźną wiedźmę, cieszącą się z kromki chleba bardziej, niż on cieszył się z czegokolwiek w życiu. Jak na razie podróż wydawała się przebiegać bez większych komplikacji.

* * *

Szprota spojrzał na wylaniające się zza drzew mury miasta. Minęły dwa dni od pościgu, na który go wysłano. Wracał sam, z wieściami o śmierci kolegów oraz poniesieniu całkowitej porażki. Przyszłość nie malowała się więc w najjaśniejszych kolorach. Przybity obserwował jak wóz, na którym jechał, przekracza bramę. Zeskoczył i podziękował krótko człowiekowi, który zaoferował się zabrać go z sobą spod gospody. Po głębokim westchnięciu ruszył przez miasto, kierując się w stronę gabinetu Królewskiego Inkwizytora.

* * *

Siedzący na swoim fotelu Mauricio spojrzał przenikliwie na Szprote. Strażnik mil-czał.

— Młodszy sierżant chce mi coś powiedzieć? – zaplat miętko – na przykład zameldować co się stało podczas takiego jednego pościgu, w który posłałem go dwa dni temu – dokończył krzykiem.

— Wasza Ekscelencjo – zaczął opanowanym tonem – zginęło dwóch moich do-brych kolegów, sam ledwo uszedłem z życiem. Podczas pościgu zostaliśmy zaatak-o-wani poprzez wiedźmę. Posługując się czarami, zesłała w nas piorun z nieba. Straci-łem konia i odniosłem parę lżejszych ran. Przed powrotem musiałem odczekać dzień w pobliskiej gospodzie. Wiedźma wraz z towarzyszącym jej mężczyzną oraz kobietą uciekli, choć kobieta została postrzelona. Wydaje mi się, że atak był odpowiedzią na oddany przez nas strzał.

Miotający inkwizytorem gniew momentalnie ustąpił miejsca zamyśleniu. Mauricio zagłębił się w fotelu i milcząc, spojrzał przed siebie.

— W co trafiła strzała? – zapytał krótko.

— Trudno powiedzieć, wasza Eminencjo, było ciemno.

— Jeszcze raz opowiedz mi wszystko, najdokładniej jak potrafisz. Każdy, nawet najmniejszy szczegół, jaki pamiętasz. Usiądź, ledwo trzymasz się na nogach.

Szprota, równie zadowolony, jak i zaskoczony, sięgnął po stojące pod ścianą krzesło i powoli zaczął mówić. Mauricio słuchał w ciszy, czasem zadając krótkie pytanie. Gdy Szprota skończył, inkwizytor wyglądał na jeszcze bardziej zamyślonego.

— Młodszy sierżancie, jesteście wolni – powiedział w końcu – idź się porządnie wyspać, jutro z rana wyruszamy w pościg.

Szprota mrugnął dwa razy.

— Przepraszam waszą Ekscelencję, ale wyruszamy? To znaczy kto?

— Ja, ty i dwóch wybranych przez ciebie strażników – widząc na sobie zszokowany wzrok, dodał – tak umiem jeździć konno i nie, nie żartuję. Cieszcie się, że przy następnym spotkaniu z czarownicą będziecie mieli przy sobie doświadczonego inkwizytora. Przyjdźcie jeszcze do mnie wieczorem, ustalimy szczegóły. Teraz won, muszę pomyśleć.

— Tak jest wasza Ekscelencjo – odparł Szybko i pośpiesznie opuścił gabinet.

Mauricio zaklął cicho. Magia, czary, czarownice, wiedźmy. Takie rzeczy nie istnieją, pomyślał. Jednak coś zabiło dwóch strażników i to coś niebezpiecznie przypominało magię. Wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie dowie się, co to było.

Rozdział IV

— Załóżmy na chwilę, że byłam złodziejką – powiedziała Freja, myjąc włosy w zimnej wodzie – co powinnam teoretycznie umieć?

Leokadia zastanowiła się chwilę.

— Skradać się? Nie, to za banalne. To może otwierać wytrychem zamki.

Freja wynurzyła się z jeziora i wyszła na brzeg. Usiadła na kamieniu obok dziewczyny, kierując twarz w stronę porannego słońca.

— Mamy jakiś wytrych? – zapytała.

— Raczej nie.

— A zamek?

— Też raczej nie. Co gorsza, nie mamy czym się wytrzeć, a jest mi zimno.

— Dobrze, co jeszcze potrafia złodzieje poza skradaniem się i otwieraniem zamków – kontynuowała Freja.

— Bo ja wiem? Rzucać nożami?

— Rzucać nożami? Dlaczego złodzieje mieliby rzucać nożami? I masz rację, brak ręcznika boli – odpowiedziała, zaczynając się lekko trząść.

— Nie wiem, nigdy nic nie kradłam. Poza tym nóż mamy, leży obok moich ubrań, spróbuj sobie porzucać, to może zapomnisz, że jest zimno.

Pomysł wydał się rozsądny. Sięgnęła za siebie i uniosła niewielki metalowy nóż. Ręka chętnie go złapała i trzymała pewnie.

— W międzyczasie może spróbujesz rozpalic ognisko? – powiedziała, przyglądając się ostrzu.

— Cała mokra? Na pewno mi się uda. Było trzeba o tym pomyśleć, zanim mnie tu wyciągnęłaś.

— Mordekai! – krzyknęła Freja, najgłośniej jak potrafiła.

— Śpi jeszcze, nie obudzisz go, choćbyś zdarła sobie gardło. Lepiej rzucaj tym nożem, ciekawa jestem, jak ci pójdzie.

Freja wyprostowała się i spoglądając w las, wybrała cel. Wykonując lekki zamach, ręka praktycznie sama wykonała wyuczony ruch i posłała przed siebie nóż. Ten z głuchym traskiem odbił się od jednego z drzew.

— Wyglądało to znacznie lepiej, niż się skończyło – stwierdziła Leokadia – w które drzewo celowałaś?

— Nie to, w które trafiłam.

— Na pewno nie był to twój pierwszy rzut w życiu. Wykonałaś go zaskakująco płynnie. Spróbuj jeszcze parę razy, może sobie coś przypomnisz.

Freja kiwnęła głową i podniosła ze ściółki nóż. Choć sama nigdy nożami nie rzucała, to jej ciało pamiętało setki godzin treningu. Za dziesiątym razem nóż się wbił, a po dwudziestym wbił się już za każdym razem. Zabawę przerwał im krzyk Mordekaia.

— Jesteście nad jeziorem!?

— Tak – odpowiedziała głośno Freja – bądź tak miły i rozpal nam ognisko, a następnie nie pokazuj się przez jakieś czas.

— Było sobie trzeba samemu rozpalić – odparł, po czym dodał – zawołam, gdy będzie gotowe.

* * *

Obie odwróciły się i spojrzały na zbliżającą się sylwetkę Mordekaia. W ręce niósł trzymanego za nogi królika.

— Jak, ogrzałyście się? – zapytał.

Zgodnie kiwnęły nogą.

— Twoja pułapka po raz pierwszy coś złapała, czy znalazłeś padlinę i z desperacji będziemy ją jedli? – zapytała Leokadia.

— Takie mądre jesteście, to zróbcie z niego coś jadalnego. Ja idę nad jezioro – odparł i rzucił im królika przed nogi.

— Sam nie ma pojęcia jak go przyrządzić, prawda? – szepnęła dziewczyna do kiwającej głową Freji, na tyle głośno by lekarz usłyszał.

— Podobnie jak wy, więc życzę powodzenia – rzucił, znikając za drzewami.

Spojrzały na leżące przed nimi zwierzę.

— Pomysły? – zaczęła Freja.

— Nie, ale myślę, że wszyscy złodzieje przyrządzają świetne potrawy z królika.

— To chyba tak nie działa.

— Z rzucaniem nożem działało – odparła, wzruszając ramionami – wystarczy, że odpowiednio mocno w to uwierzysz.

* * *

Zgasili ognisko i skończyli przygotowywać wóz do dalszej jazdy. Freja spojrzała na twarze towarzyszy jej czterodniowej podróży. Westchnęła cicho.

— Dzisiaj was opuszczę – powiedziała krótko – codziennie w nocy męczą mnie koszmary związane z tą przekłętą książką. Muszę się po nią wrócić.

Mordekai kiwnął głową i dał znak ręką Leokadii, by się nie odzywała.

— Odzyskałaś na tyle sił, że z czystym sercem mogę cię puścić na tę samobójczą misję – odparł.

Dostała trochę prowiantu po wymianie krótkich słów pożegnania, ruszyła w stronę miasta. Mordekai spojrzał na rozklejoną twarz swojej podopiecznej.

— Przecież bałaś się jej! Była przerażającą wiedźmą ciskającą pioruny z nieba!

— Smutno będzie bez niej – powiedziała – przyzwyczaiałam się do jej obecności.

— Za to teraz istnieje szansa, że jak wreszcie dogoni nas inkwizycja, to nie skończy się to naszą natychmiastową śmiercią.

Usiedli na wozie i jechali chwilę w całkowitej ciszy.

— Dałam jej swój nóż – powiedziała w końcu Leokadia.

— To miło z twojej strony. Teraz gdy zgubię swój, pozostaniemy bez ani jednej ostrej krawędzi.

— Dokąd zmierzamy? – zadała w końcu pytanie, którego bała się zadawać od paru dni.

— Do granicy – odparł jej spokojnie lekarz – a później do akademii, w której pobierałem nauki. Może przyjmą mnie jako nauczyciela, a ciebie jako uczennicę. W każdym razie nie mam lepszych pomysłów.

— Wątpię, bym nadawała się na lekarza – odparła po chwili.

— Ale tam nie uczą tylko medycyny. Z tego, co zdołałem się zorientować, to otrzymałaś solidne podstawowe wykształcenie, więc na pewno sobie poradzisz. Co będziesz chciała studiować, to już sama zdecydujesz – spojrzał na nią poważnym wzrokiem – ale najpierw musimy przeżyć długą wędrówkę z małą ilością pieniędzy i zapasów, co wkrótce przestanie być zabawne.

Leokadia kiwnęła głową na znak zrozumienia i ponownie zaległa cisza.

* * *

Sulim siedział przy niewielkim ognisku, grając spokojną melodie. Przyglądał się rozświetlonym ogniem twarzom i westchnął cicho. Trzeci dzień podróżował z tymi ludźmi. Zmierzali do małego przygranicznego miasta, nawet nie pamiętał już w jakim celu. Interesowało go tylko, że zabrali go ze sobą. Dzięki temu mógł poruszać się szybciej. Parę długich dni dało mu dużo czasu na przemyślenie swoich decyzji. Ścigał kobietę, którą widział tylko raz, nieprzytomną. Do tego najprawdopodobniej zabiła dwie osoby i ścigała ją inkwizycja. Z której strony, by nie patrzeć nie miało to większego sensu.

— Panie bard, zagraj pan coś weselszego, popłaczemy się tu zaraz – powiedział do niego jeden z mężczyzn – gra pan jakby wczoraj zmarła panu matka.

Sulim kiwnął głową i zmienił melodię. Nie było sensu nad tym dłużej rozmyślać. Przynajmniej miasto, do którego zmierzali, miało całkiem dobrą reputację. Nagle przerwał, widząc czarną sylwetkę przesuwającą się między drzewami. Jego towarzysze spojrzeli najpierw na niego, a później na punkt, w który się wpatrywał. Z mroku powoli wyłoniła się kobieta. Ubrana w całkowicie niepasującą do otoczenia prostą białą suknię wyglądała wręcz abstrakcyjnie.

— Usłyszałam muzykę i zobaczyłam ogień, więc stwierdziłam, że zapytam się czy mogę się dołączyć – powiedziała, uśmiechając się.

Sulim zamarł w bezruchu. To była ona. Zabiła ludzi, z którymi podróżowała i teraz żadna krwi przyszła po nich? Odrzucił szybko tę myśl, starając się uspokoić.

— Witamy młodą damę – powiedział jeden z mężczyzn – proszę, siadaj, mamy niesamowicie smaczną zupę. W zamian liczymy na jakąś ciekawą opowieść.

Freja zbliżyła się do ognia i skaczące płomienie rozświetliły jej twarz.

— Jestem zbiegłą z więzienia złodziejką, która zmierza do miasta odzyskać zgubiony łup. Ściga mnie inkwizycja i tak naprawdę jestem kim innym – po chwili zastanowienia dodała – do tego potrafię wpływać na pogodę, ale strasznie mnie to męczy.

Wszyscy poza Sulimem roześmiali się głośno.

— Widzę, że dowcip się pani trzyma. Należy się pani podwójna porcja naszej wieczornej specjalności.

Uśmiechnięta wzięła małą miskę i dziękując, usiadła obok ciągle sparaliżowanego Sulima.

— Nie, żebyśmy byli wścibscy, ale co robi samotna młoda kobieta, sama w nocy, pośrodku niczego. Jest to co najmniej dziwne.

Freja zmyśliła się nad odpowiedzią. Obaj mężczyźni ponownie się roześmiali, widząc, jak usiłuje coś wymyślić. Jeden przyjaźnie poklepał ją po ramieniu i zachęcił, by zjadła ciepły posiłek. Porozmawiali w wesołej atmosferze, pośmiali się ze Sulima, który nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku, i w końcu udali się na spoczynek.

* * *

Ten sam sen. Znowu uciekała, znowu ją gonili. Była już jednak do tego przyzwyczajona. Z obojętnością oglądała swój upadek, cierpliwie znosiła ból. W końcu sen się zakończył i zbudziła się złana potem. Był środek nocy i nie było szans, by szybko z powrotem usnęła. Po cichu wstała i poszła się przejść. Ze zdziwieniem stwierdziła, że przyłączył się do niej muzyk.

— Powiesz coś w końcu? – zapytała, gdy oddalili się od obozu na tyle, by nie obudzić pozostałych.

— Twoje pierwsze słowa były szczerą prawdą, prawda? – szepnął cicho.

— *„Usłyszałam muzykę i zobaczyłam ogień”*? – zapytała niewinnie – Owszem, nie skłamałam wtedy.

Spojrzał na nią, usiłując stwierdzić czy żartowała.

— Widziałem, jak parę dni temu wnosili cię nieprzytomną do gospody, zaraz po dziewczynie ze sterzącą z pleców strzałą.

Freja stanęła w miejscu. To się nie zgadzało. Mordekai powiedział, że Leokadię postrzelili jeszcze w mieście i opatrzył ranę przed wyjazdem.

— Co jeszcze o mnie wiesz? – zapytała ostrożnie.

— Ściagała cię straż. W nocy doszło do jakiejś walki. Rano znaleziono dwóch martwych strażników.

Freja zamrugła oczyma. Nikt ich przecież nie ścigał. Zakręciło się jej lekko w głowie. Coś bardzo nie pasowało. Usiadła na kamieniu, próbując się skupić. Jak przez mgłę pamiętała strzałę oraz pamiętała krzyk. Zamknęła oczy, starając się przywołać niewyraźne wspomnienie. Ujrzała swoją rękę, uniesioną na tle przecinających powietrze ciał strażników. Zemdlilo ją.

— Zabiłam ich – powiedziała szeptem, kierując szklisty wzrok na muzyka – ukryli to przede mną, powiedzieli, że pościgu nigdy nie było – głos się jej załamał – a ja zabiłam dwójkę niczemu nie winnych ludzi. Nawet nie wiem, jak powinnam teraz na to zareagować.

Sulim stał chwilę w ciszy, szukając jakichkolwiek słów pasujących do zaistniałej sytuacji. Popatrzył się na kobietę, która nieświadomie zabiła dwie osoby. Zastanowił się, dlaczego jeszcze nie ucieka.

— Byłam przekonana, że śnię. Czy czyni mnie to trochę mniej winną ich śmierci? – zapytała z nadzieją w głosie.

„O tak, oczywiście, samemu zdarza mi się czasem zabić kogoś przez sen” – pomyślał. Jednak siedząca przed nim osoba patrzyła się na niego z autentyczną nadzieją w oczach. Spróbował wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa.

— Może coś zagram? – zapytał.

— A to w czymś pomoże?

— Na pewno nie zaszkodzi.

— Ale nie masz przy sobie żadnego instrumentu.

Muzyk zapłakał w myślach. Nie przeżył jeszcze pełnych trzydziestu lat. Nikt nawet nie znalazł jego ciała w tym przeklętym lesie.

— Broniałam się, strzelali do mnie z łuku – kontynuowała, przerywając dłużą chwilę ciszy – czy czyni mnie to złą osobą?

Sulim spróbował się opanować. Parę dni temu postanowił iść za nieznaną mu kobietą. Teraz przyszło sprostać konsekwencjom tej decyzji. Zmusił swój umysł do chwili logicznego rozumowania.

— Czy chcesz być złą osobą? – zapytał.

— Nie, raczej prawie na pewno nie.

— To nie jesteś złą osobą, tylko osobą, która popełniła zło. Zło popełniają wszyscy, prawda?

„*Choć niekoniecznie mordują od razu dwie osoby*” – dodał w myślach, ale pozostawił to dla siebie. Przyglądał się oświetlonej słabym światłem księżyca postaci, oczekując jej reakcji. Freja niepewnie kiwnęła głową i powoli wstała.

— Wróćmy do obozu – zaproponowała.

Ruszyli przez las w całkowitej ciszy. Sulim stwierdził, że poszło mu całkiem nie najgorzej. Ciągłe żył, a idąca obok kobieta wydawała się trochę pocieszona. Zastanowił się, czy na pewno był to pożądaný efekt. W końcu dotarli do obozowiska. Jeden z mężczyzn siedział przy wygaszonym ognisku i uśmiechał się paskudnie.

— Zaczynaliśmy się już niecierpliwić, tyle was nie było – zawołał drwiącym głosem – denerwuje nas pan, panie muzyk, zabierając tak wszystko dla siebie. Też chcemy się czasem zabawić – zrobił krótką przerwę, przenosząc wzrok na Freję – To jak będzie, podzieli się pan, czy stanie w obronie swojej cudnej towarzyszki?

Sulim wyciągnął ukryty w skórzanym płaszczu nóż i chwycił go, przyjmując pozycję gotową do walki.

— Nieprawidłowa odpowiedź, panie muzyk – powiedział głos zza jego pleców.

Uderzona w głowę postać Sulima bezwładnie osunęła się na ziemię.

* * *

Ciało samo się obróciło, ręka sama chwyciła rękojeść. Wystarczyło wydać polecenie. Poczula, jak na jej twarz padają gorące krople krwi. Zmieniła chwyt i nie przerywając obrotu, wypuściła ostrze przed siebie. W cichym lesie rozbrzmiał odgłos dwóch ciał, równocześnie uderzających o ziemię.

* * *

Sulim ocknął się z pulsującym bólem głowy. Nie musiał nawet dotykać głowy, by poczuć na niej wielkiego guza. Powoli usiadł. Było już jasno. Rozglądał się po okolicy, zastanawiając się, ile był nieprzytomny. Przed nim leżała pokryta zakrzepłą krwią Freja, wpatrująca się tępo w niebo. Oczy miała podkrążone po nieprzespanej nocy. Biała suknia straszyla teraz czerwienią. Kawałek dalej zobaczył mężczyznę ze sterczącym z krtani sztyłem. Sulim powoli obrócił głowę i za sobą znalazł drugie ciało. Leżało w kałuży krwi z rozciętym gardłem. Zemdliło go. Wstał i oparł się plecami o drzewo. Nigdy w życiu nie oglądał takich scen, był muzykiem, nie żołnierzem. Najbrutalniejsze zdarzenia, jakie dotąd oglądał to walki w karczmach, a one kończyły się co najwyżej połamanymi nosami. Skierował wzrok na kobietę. Pierwszy

raz oglądał ją w pełnym oświeceniu. Powinien był teraz odejść. Zostawić ją w otoczeniu dwóch trupów i powrócić do znanego mu świata. Ruszyłby z powrotem do miasta, udając, że ten dzień nigdy nie nastąpił. Po paru miesiącach pewnie by w to uwierzył. Jednak pokryta krwią Freja nie budziła w nim grozy ani strachu, raczej współczucie. Wyglądała, jakby miała nigdy nie wstać i w końcu umrzeć z głodu. Podeszedł do swojej sakwy. Wyjął ze środka bukłak wody i szmatkę do czyszczenia lutni. Nie było co się oszukiwać, nie było mowy o odejściu. Kucnął obok głowy leżącej kobiety i delikatnie wytarł jej twarz wilgotnym materiałem.

— Wstań – powiedział łagodnie – pogrzebiemy ich i ruszymy przed siebie.

Freja otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale ponownie je zamknęła.

— Broniłaś się – kontynuował muzyk.

Westchnął cicho, widząc brak jakiejkolwiek reakcji. Postanowił rozpaść ognisko. W garnku ciągle były resztki wczorajszej zupy. Podgrzał je i trzymając w rękach miskę, ponownie podeszedł do Freji.

— Zjedz, poczujesz się lepiej.

Kobieta spojrzała muzykowi w oczy.

— Dlaczego? – zapytała bezbarwnym głosem.

— Bo nie będziesz głodna? – odpowiedział, starając się uśmiechnąć, ale szybko zrezygnował – Po co zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi? Stało się, teraz trzeba żyć dalej.

Sulim zastanowił się, od kiedy potrafił wygłaszać takie kwestię. Najwyraźniej działały, bo kobieta podniosła miskę i zaczęła powoli wypijać zawartość.

— Kim byli ci ludzie – zapytała cicho.

— Nie wiem, podróżowałem z nimi tylko trzy dni, za wiele ze sobą nie rozmawialiśmy.

Skończyła jeść i podniosła się ziemi. Podeszła do leżącego przed nią ciała i wyciągnęła sterczący z niego nóż. Chwilę wpatrywała się w zakrwawione ostrze, po czym wytarła je o suknię i schowała w zawieszanej na pasku sakwie.

— Wszystko co o mnie wiesz, to, że zabiłam co najmniej cztery osoby, uciekałam z więzienia i ściga mnie inkwizycja – odwróciła się i spojrzała mu w oczy – dlaczego mi pomagasz?

— Nie potrafię odnaleźć logicznego uargumentowania tej decyzji – powiedział, zgodnie z prawdą – więc chyba przestanę się nad tym zastanawiać – po chwili dodał – i chętnie pójdę z tobą, gdziekolwiek zmierzasz. I tak nie miałem żadnych szczególnych planów na przyszłość.

Freja przekrzywiła lekko głowę.

— Świat nie ma najmniejszego sensu – stwierdziła krótko – witam więc w drużynie, jestem Freja, nie do końca człowiek. Z profesji prawdopodobnie złodziejka, acz ostatnio zaczynam podejrzewać, że bardziej zabójczyni. Moimi hobby to zabijanie ludzi piorunami, wbijanie ludziom noży w gardło, oraz, ostatnio niesamowicie modne, zamartwianie się nad sobą.

Nie czekając na odpowiedź podeszła do krytego wozu zaprzęgniętego w pojedynczego konia. Uderzyła pięścią w zamknięte na kłódkę drzwi.

— Co jest w środku? – zapytała.

Sulim wzruszył ramionami. Zabrali się więc za przeszukanie ciał. Poza sporym pękiem kluczy znaleźli dwie sakiewki wypchane srebrnymi monetami. Muzyk gwizdął cicho. Za taką kwotę można było uzbroić trzech ludzi w pełne zbroje. Otworzyli

drzwi wozu i zaglądnęli do środka. Ujrzeni przyczepione do ścian łańcuchy zakończone klamrami na ręce i nogi. Poza nimi wewnątrz było puste, pomijając dwie beczki z zapasami.

— No to już wiemy, czemu tak chętnie zabrali mnie ze sobą – powiedział Sulim – dostaliby za mnie pewno niezłą kwotę. Niewolnik muzyk! Możesz kazać mu nosić kamienie oraz grać na lutni! Czasem nawet zaśpiewa!

— Czy powinnam się teraz poczuć lepiej? – zapytała Freja – Bo czuję, że mam taką samą depresję, jaką miałam.

— To wyobraź sobie, co by się z tobą stało, gdybyś się nie obroniła. Jak się im wczoraj musiały oczy zaświecić, gdy cię ujrzeli.

Bez przekonania kiwnęła głową i podeszła do stojących w kącie beczek. Jedna wypełniona była suszonym mięsem, druga różnymi narzędziami. Chwyliła niewielki szpadel.

— To ja pójdę kopać dół. Postaram się, by jego głębokość oddała mój stan emocjonalny – powiedziała, wychodząc na zewnątrz.

— Zaakompaniować ci? Znam parę wystarczająco przygnębiających utworów.

— Dopiero co dołączył, a już taki użyteczny!

Grając, Sulim patrzył się, jak jego towarzyszka pracuje. Teraz jej suknia nie tylko była ochlapana krwią, ale też pokryta ziemią. Nagle przyszedł mu do głowy genialny pomysł. Przestał grać i podszedł do jednego z ciał. Przyglądając się jego ubraniu, po czym zaczął je ściągać.

— Co robisz? – zapytała Freja, stojąc w dole, będącym fizyczną manifestacją jej uczuć.

— Nie możesz iść dalej w tej sukni. Rzucasz się w oczy bardziej od... od... czegoś, co bardzo rzuca się w oczy – podszedł do niej, trzymając w rękach zdjęte ubranie – przyciśnij do ciała suknię, zobaczę, o ile trzeba skrócić.

— Kobieta w męskich ubraniach nie będzie rzucała się w oczy? – zapytała, wykonując jego polecenie.

— Gdzieś w obozie widziałem łuk. Zarzucisz sobie go na plecy, ludzie pomyślą, żeś myśliwa¹.

Wykonał parę szybkich pomiarów i wyjął ze swojej sakwy igłę i nić. Gdy Freja skończyła zasypywać ciała ziemią, siedział zadowolony przed przerobionymi ubraniami. Ostrożnie wzięła w ręce brązową koszulę i powąchała.

— Nawet tego nie przymierz, póki nie zostanie to porządnie uprane. Spodni boję się podnosić.

— Ale co z ludźmi, których spotkamy, zanim dojedziemy do rzeki?

— Będę miała na plecach łuk, powiemy, że polowałam na niedźwiedzie, a one wyjątkowo obficie krwawią.

Nie miał zamiaru się kłócić. Rozprzęgli konia i umieścili na nim wszystko, co było sens zabierać. Mieli już wyruszyć, gdy Sulim oglądając się na stojący samotnie wóz.

— Spalmy go – powiedział nagle – nie wiem czemu, ale czuję, że zrobimy wtedy przysługę wszystkim ludziom, którzy stracili przez niego wolność.

Zostawiając za sobą skaczące po suchych deskach płomienie, ruszali przed siebie. Muzyk spojrział na idącą obok niego kobietę. Uśmiechnął się. Jego spontaniczna pogon za całkowicie nieznaną mu kobietą zakończyła się sukcesem. Może miała swoje

¹słowo nie występuje w słowniku języka polskiego, ale Sulim o tym nie wie. Autor oddaje skromny pokłon językowi angielskiemu i słowu huntress.

wady, czasem zdarzało się jej kogoś zamordować, ale przecież nikt nie był idealny, prawda?

* * *

Dwa dni minęły odkąd Mauricio, wraz z trzema strażnikami, ruszył w pogoń za Freją. Skrajnie wyczerpany inkwizytor zmuszał się do dalszej podróży jedynie czystą siłą woli. Przez krótką chwilę jego przemęczony wzrok spotkał się ze wzrokiem mijanej kobiety. Szła obok młodego mężczyzny pobrzękującego na lirze. Ubrana była w męskie ubrania. Na plecach miała luźno zawieszony łuk. Mauricio wpatrzył się w jej oczy, starając się zrozumieć, dlaczego ta osoba wydała się mu być ważna. Rozpędzony koń szybko jednak pognął dalej, zostawiając kobietę daleko z tyłu.

* * *

— Właśnie minął nas Wielki Królewski Inkwizytor wraz ze swoją świtą – stwierdziła Freja, nie przerywając marszu.

Sulim odsunął od strun palce i szeroko otworzył usta. Spojrzał na spokojną twarz swojej towarzyszki.

— Nie poznał mnie – kontynuowała, widząc jego osłupiały wzrok – szuka wozu uciekającego za granicę, a nie dwojga ludzi z koniem, zmierzających w stronę miasta – po krótkiej pauzie dodała – choć pewno niedługo się to zmieni.

Maszerowali dłuższą chwilę w ciszy. Niewiele rozmawiali, odkąd zostawili za sobą pałacy się wóz. Freja, choć usilnie starała się tego nie okazywać, czuła się fatalnie. Przez ostatnie noce praktycznie nie spała, bojąc się zamykać oczu. Jej koszmary stały się przynajmniej bardziej urozmaicone. Teraz nie tylko uciekała z książką w rękę, ale również mogła podziwiać, jak własnorecznie morduje czwórkę ludzi. Wymęczona psychicznie średnio miała ochotę rozmawiać z kimkolwiek. Sulim wydawał się to zauważać, gdyż nie zadawał jej zbędnych pytań, idąc obok bez słowa. Spojrzała na niego. Usilnie szukał czegoś w swojej sakwie. Zastanowiła się, co by się z nią stało, gdyby wieczorami nie podtykał jej pod usta miski i nie nakłaniał, by coś zjadała. Sama by się do tego nie zmusiła. Jedzenie stawiało jej w gardle. Sulim wyciągnął w końcu ze środka zwinięty pergamin i wcisnął go jej w rękę.

— Mapa – stwierdziła, przyglądając się otrzymanemu przedmiotowi – po co pokazujesz mi mapę?

— Jeżeli dobrze zrozumiałem zaistniałą sytuację, to dalsza wędrówka bez zmiany trasy źle się dla nas skończy – powiedział krótko.

Freja spojrzała mu w oczy. Niewątpliwie Mauricio za jakieś dwa dni ponownie ich minie, a wtedy już raczej ją pozna. Nie zastanawiała się jeszcze co z tym zrobić, zbyt zajęta była marzeniem o godzinie nieprzerwanego snu. Lekko kiwnęła głową i rozwinęła w rękach pergamin.

— Co proponujesz? – zapytała.

— Skręcimy tutaj – powiedział, wskazując placem punkt na mapie – jutro wieczorem powinniśmy się znaleźć w tej wiosce. Opłacimy pobyt w gospodzie i przeczekamy tam tydzień, po czym wyruszymy ponownie do miasta.

— Czym się tam ludzie zajmują?

— Wydaję mi się, że tylko uprawą roli. Zaopatrują miasto w zboże.

— Nasz pobyt nie wyda się mieszkańcom podejrzany?

— Nie zapominaj, że jestem wędrownym muzykiem, odwiedzam różne dziwne miejsca. Powiem, że przed występami w mieście chcę odpocząć gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie. Póki będę grał, wątpię, by ktokolwiek miał jakiegokolwiek wątpliwości.

— A co ze mną?

— Moja siostra, kuzynka, współpracowniczka, towarzyszką wybierz sobie cokolwiek. Umiesz śpiewać?

— Nigdy nie sprawdzałam – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— To się dowiemy wieczorem, ale raczej dasz radę. Niewiele potrzeba by się spodobać wieśniakom, a grajek podróżujący ze śpiewaczką to już chyba najbardziej sztapnowa rzecz, jaka może się trafić.

Freja ponownie kiwnęła głową na znak zgody i oddała Sulimowi zwiniętą mapę. Co prawda chciała jak najszybciej dostać się do miasta i odzyskać książkę, ale jej obecny stan na to nie pozwalał. Pozostawało mieć nadzieję, że ciepła kąpiel oraz miękkie łóżko choć trochę jej pomogą. Oczywiście zakładając, że w wiosce będzie jakakolwiek gospoda. Sulim zastanowił się przez chwilę czy nie skorzystać z okazji i nie zadać jej paru dodatkowych pytań. Kim jest albo dlaczego tak usilnie zmierza do miasta? Odłożył je jednak na później. Cicho wzdychając, zaczępił sakwę na grzbiecie konia. Uniósł lutnię i zaczął ponownie grać przerwana pieśń.

* * *

Sulim wpatrywał się w skaczące płomienie ogniska, zastawiając się czy spotkał się w życiu z większym antytalentem. Śpiewaczki z niej nie zrobi, nie oszukałaby nawet całkowitego ignoranta.

— To może siostra? – zapytała cicho Freja – Siostra brzmi sensownie, każdy może podróżować ze swoją siostrą.

Co ciekawe problemem nie był tu jej głos. Nie był on specjalnie zły, może nie specjalnie barwny, ale o przyjemnym, ciepłym brzmieniu. W mowie potrafiła się nim posługiwać po mistrzowsku. Najwyraźniej nie każdemu dane było w życiu śpiewać.

— Obawiam się, że ludzie w wiosce mogą się krzywo na to patrzeć – opowiedział – młode kobiety nie wędrują losowo po świecie ze swoim rodzeństwem – przyglądał się jej męskim ubraniem – ale chyba nic lepszego nie wymyślimy. Samotny bard podróżujący ze swoją siostrą luczniczka – uśmiechnął się, grzebiąc patykiem w ogniu – trudno było się nie roześmiać.

Oboje zamilkli na dłuższą chwilę, błędząc myślami daleko od małego obozowiska.

— Wczoraj w nocy próbowałam strzelać z łuku – powiedziała w końcu Freja – byłam w stanie po ciemku trafić w oddalone o sto metrów drzewo. Minęło jednak parę godzin, zanim się mi to udało – Freja położyła się na ziemi i spojrzała na czyste nocne niebo. Westchnęła cicho – Dlaczego – zapytała – dlaczego, nigdy nie zadasz mi żadnego pytania? Widziałeś, jak zabijam dwójkę ludzi, widziałeś ścigającą mnie inkwizycję, po czym bez słowa idziesz obok mnie?

Muzyk wrzucił trzymany w rękach patyk do ogniska. Ano rzeczywiście sensu to nie miało. Najmniejszego. Co zrobić. Odwrócił się w stronę leżącej kobiety, spoglądając jej w oczy.

— Będziesz chciała, to sama mi powiesz, po co mam cię zmuszać? Bardziej martwi mnie fakt, że nie przespałaś zeszłej nocy.

Skrzywiła się, słysząc, jak zmienia temat. Nie próbowała jednak do niego wracać. Zamknęła oczy, tłumiąc rozszalałe myśli.

— Zagraj coś kojącego – poprosiła – może uda mi się usnąć, chociaż na godzinę.

Sulim bez słowa chwycił swoją lutnię. Barwne nuty powoli rozeszły się w nocnym powietrzu. Zastanowił się chwilę co zagrać. Gdy w końcu wybrał odpowiednią pieśń, spojrział jeszcze raz na Freję. Już spała.

* * *

Mauricio powoli zszedł z konia i rozprostował obolałe po długiej jeździe nogi. Spojrzał na groźnie uniesione miecze swoich strażników, po czym na dwie postacie siedzące na zatrzymanym wozie. Mężczyznę widział po raz pierwszy. Nie wyglądał on na specjalnie przejętego. Uśmiechał się nawet przyjaźnie. Inkwizytor przeniósł wzrok na siedzącą obok śmiertelnie przerażoną dziewczynę. Choć zafarbowała i ścięła krótko włosy, poznał ją natychmiast. Mauricio za często zmuszany był chodzić do baronowej, by nie poznać jej rodzonej córki.

— Leokadio, słońce – powiedział spokojnie – oraz doktorze Mordekai, jak mnie mam, powiedzcie mi, proszę, gdzie jest wasza towarzyszka, wiedźma.

— Witam Waszą Ekscelencję Wielkiego Królewskiego Inkwizytora – odparł grzecznie lekarz – pokłoniłbym się nisko się, by oddać swój szacunek, ale chwilowo nie mam jak.

Mauricio kiwnął lekko palcem w stronę Szproty i przyglądał się, jak młodszy sierżant ściąga lekarza z wozu i bezceremonialnie wbija mu pięść w brzuch. Mordekai zgiął się w pół, uderzając kolanami o ziemię.

— Przepraszam za to – kontynuował inkwizytor – ale szanowny doktor najwyraźniej nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazł. Zginęło dwóch moich ludzi. Jestem lekko wyprowadzony z równowagi.

— Chętnie powiem wszystko, co wiem – powiedział lekarz, prostując się z trudem – ale pod warunkiem, że pozwolisz nam odjechać. Nigdy więcej już nas nie zobaczysz.

Inkwizytor westchnął, przewracając oczyma, Leokadia krzyknęła cicho, pięść szproty bezgłośnie zatoczyła kolejny łuk w powietrzu. Mordekai ponownie upadł na kolana.

— Z każdą sekundą twoja wiedźma oddala się od ciebie o kolejne metry – wyszeptał, z trudem łapiąc oddech – a ja proszę o naprawdę niewiele. Naprawdę powiem wszystko, co o niej wiem.

Szprota spojrział pytająco na inkwizytora. Ten gestem kazał mu zaczekać, po czym zamyślił się na chwilę.

— Powiesz mi, co wiesz. Wtedy uznam czy te informacje były warte darowania wam życia – stwierdził w końcu.

— Raczej nie mógłbym prosić o nic więcej – wyszeptał lekarz, starając się uśmiechnąć – zacznę od tego, co pewno najbardziej cię interesuje. Freja, bo tak nazywać się kazała twoja wiedźma, jest w tej chwili jakieś trzy dni pieszej wędrówki od miasta. Prawdopodobnie nawet minęła ją, ścigając nas.

Na opanowanej dotąd twarzy inkwizytora na chwilę dało się zauważyć krótki przeblask paniki. Przypomniał sobie kobietę, która wczoraj wydała mu się być ważna. Teraz skojarzył kim była. Lekarz widząc jego reakcję, kiwnął lekko głową.

— A więc mijaliście ją, co znacznie upraszcza sprawę – kontynuował – wróciła się po pewną książkę. Niechętnie o niej wspominała. Raz opowiedziała nam, że co

noc śniła ten sam koszmar. Uciekała w nim przez las, z tą książką w rękach. Sen kończył, gdy przebijała ją strzała i upadała na ziemię. Twierdziła, że straciła pamięć i musi odzyskać tę książkę, by dowiedzieć się kim była.

Mauricio gestem ręki przerwał wypowiedź lekarza i zamyślił się na chwilę. Nagle zrozumiał. Zrozumiał, czego szukała, co znalazła i co ukradła złodziejka, którą zakon wydał mu na spalenia na stosie. Zrozumiał też, że zakon jakimś cudem nie wiedział, czego dokonała. Na czole pojawiły mu się krople potu.

— Freja trafiła do mnie ponad dwa tygodnie temu – kontynuował Mordekai – zabrałem ją z domu kupca Abnera, gdzie zastałem ją już nieprzytomną. Schroniła się u niego po ucieczce. O szczegóły ucieczki nigdy się nie pytałem. Freja twierdziła, że książkę miała przy sobie, gdy trafiła do kupca i tam ona prawdopodobnie została.

Mordekai streścił wydarzenia dwóch ostatnich tygodni swojego życia. Inkwizytor słuchał w ciszy, czekając, aż skończy.

— Powiedz mi, kim według ciebie jest Freja? – zapytał w końcu.

Lekarz zamyślił się, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Jeżeli pominiemy historię z piorunem, uznając ją za dziwny zbieg okoliczności, to bez wahania powiedziałbym, że złodziejka, która straciła pamięć na skutek bliżej nieokreślonego wypadku. Przez czas, który z nami spędziła, wydała się normalną kobietą. Problem w tym, że wydarzenia tamtej nocy nie wyglądały na zbieg okoliczności.

Mauricio spojrział na siedzącego przed nim na klęczkach człowieka. Zastanowił się co zrobić.

— Czemu jej pomogłeś? – zapytał.

— Czemu miałbym nie pomóc nieprzytomnej kobiecie? Jestem lekarzem. Składałem przysięgę.

— Przecież wiedziałeś, że była skazaną na śmierć przez inkwizycję wiedźmą.

— Z całym szacunkiem dla Waszej Eminencji, jestem człowiekiem wykształconym, średnio mi wychodzi uznawanie istnienia wiedźm, smoków i czarodziejów.

Inkwizytor westchnął i spojrział na Szprotę.

— Młodszy Sierzancie, czy odczuwacie jakąkolwiek potrzebę zemsty na tym człowieku za śmierć swoich podwładnych?

Szprota ostrożnie zaprzeczył kiwnięciem głowy.

— Leokadio – inkwizytor zwrócił się do ciągle skulonej dziewczyny – masz przy sobie jakąkolwiek biżuterię, najlepiej coś z herbem swojego rodu?

Dziewczyna niepewnie kiwnęła głową i ściągnęła z szyi niewielki wisior. Podała go stojącemu obok strażnikowi.

— A więc oficjalnie, z tą chwilą włącznie, nie żyjesz – kontynuował – Gratuluje, to już drugi raz w przeciągu tego miesiąca, powinnaś być już w tym dobra – ponownie spojrział na Szprotę – młodszy sierzancie, jedziemy do miasta. Musimy dotrzeć tam przed pewną kobietą.

Szprota wydał polecenie pozostałym strażnikom i bez słowa ruszyli w drogę.

— Młodszy sierzancie powiedz mi, proszę, dlaczego nie kazałem ich zabić – zapytał po dłuższej chwili inkwizytor – przecież powinienem był kazać ich zabić, zaraz po tym, jak zdobyłem potrzebne mi informacje.

Szprota instynktownie rozpoznał pytanie, na które nie należało odpowiadać. Po mistrzowsku je przemilczał.

— Wasza Eminencja powiedziała, że zmierzamy do miasta. Nie próbujemy schwytać wiedźmy? – zapytał, zmieniając temat.

— Nie. Jak ją mijaliśmy, to choć my jej nie rozpoznaliśmy, to ona z pewnością rozpoznała nas. Wątpię, by kontynuowała wędrówkę drogą, a w lesie tak łatwo jej nie znajdziemy. Za to wiemy, gdzie zmierza. Sama do nas przyjdzie.

* * *

Siedzieli w ciszy na stojącym w bezruchu wozie.

— A więc, żyjemy – stwierdził po chwili Mordekai – nazwałbym to pewnym sukcesem.

— Wydałeś im Freję! – zapłakała Leokadia – Wydałeś ją inkwizycji i zrobiłeś to, jakbyś opowiadał im o ziemniakach! Nawet się przy tym nie skrzywiłeś!

Lekarz spojrzał na Leokadię. Była przestraszona, wściekła i jednocześnie szczęśliwa, że ciągle żyła.

— O Freję się nie martw, poradzi sobie – powiedział spokojnie – bardziej martwi mnie fakt, że wydałem im swojego jedynego przyjaciela. Ładnie odpłaciłem mu za całą otrzymaną pomoc. Coś czuję, że będzie mnie to prześladowało do końca życia – odwrócił od dziewczyny wzrok i spojrzał przed siebie – niestety jak chcieliśmy przeżyć, to nie mogłem skłamać. Co by o Mauricio nie mówić, nie zostałby tym, kim jest, gdyby był idiotą. Przed takimi ludźmi się nie kłamie – złapał lejce i pogonił konia.

* * *

Wioska składała się z kilkunastu gospodarstw i karczmy. Był już wieczór, w porozrzucanych dość daleko od siebie budynkach paliły się światła. O tej porze jedynymi ludźmi przebywającymi na dworze były bawiące się przy drodze dzieci. Pochłonięte zabawą nie zwracały na nich nawet najmniejszej uwagi.

— Gotowa? – zapytał Sulim, wyciągając rękę w stronę kłamki karczmy.

Freja kiwnęła głową i przekroczyli próg. W środku przebywała trójka czerwonych już na twarzach mężczyzn. Zmęczeni i podpici tępo wpatrywali się w sufit.

— Wczoraj padła mi mućka ma stara – wymamrotał jeden z nich – takie mleko dobre dawała...

— Wiemy, mówisz nam to już raz dziesiąty – powiedział inny.

— Ale nadal mi smutno...

Sulim z Freją podeszli do lady i po chwili wynurzył się spod niej brodaty karczmarz. Spojrzał wymownie na przybyszy, dając im do zrozumienia, że ich nie zna.

— Podróżowaliśmy razem do miasta – zaczął Sulim – ale moja siostra nagle źle się poczuła.

Karczmarz powoli przeniósł wzrok z muzyka na Freję. Wyraźnie podkrążone oczy i błada jak kreda skóra nie pozostawiały najmniejszych złudzeń.

— Zboczyliśmy więc z trasy by wydobrzała – kontynuował – chcielibyśmy w tym celu wynająć pokój.

Jeden z gości karczmy, słysząc rozmowę, odwrócił głowę w stronę przybyszy. Ujrzał uzbrojoną w łuk upiorycę. Przyglądał się białej jak kość twarzy i opadającym czarnym włosom, po czym zerwał się z krzesła.

— Nie wystarczy ci ma krowa, demonie? – krzyknął maniakalnie, po czym wybiegł na zewnątrz, potrącając po drodze parę krzesel.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. W końcu karczmarz westchnął cicho i zwrócił się do Sulima.

— Twoja siostra straszy mi klientów – powiedział – nie mam pokoiów do wynajęcia, po co miałbym mieć pokoje do wynajęcia? Nie prowadzę gospody. Mogę sprzedać wam za to piwo.

Freja nie musiała nawet się silić na próby wzbudzenia współczucia. Wystarczyło, że karczmarz ponownie się jej przyjrzał.

— No dobrze, mam jeden nieużywany pokój. Macie czym zapłacić? – zapytał.

Sulim wyjął specjalnie przygotowany na tę okazję skąpy mieszek i wyciągnął z niego siedem miedziaków.

— Zapłacimy jeszcze raz tyle, jak dostaniemy coś do jedzenia i ciepłą kąpiel – powiedział, kładąc monety na stole.

— I miejsce w stajni dla naszego konia – dodała cicho Freja.

Karczmarz skrzywił się, spoglądając na leżące przed nim pieniądze. Nie było to specjalnie dużo, ale więcej się nie spodziewał. Przyglądnął się ponownie przybyszom i zauważył przyczepioną do pasa Sulima lutnię.

— Jesteście muzykami? – zapytał.

— Tylko brat – odparła Freja.

Łamał się jeszcze chwilę, po czym w końcu podjął decyzję.

— Niech wam będzie. Usiądźcie gdzieś, ja pójde przyrządzić wam jakiś ciepły posiłek.

Przyszywane rodzeństwo wybrało sobie jeden z wolnych stolików. Freja natychmiast ułożyła na nim głowę, kładąc się na policzku.

— Umieram – wymamrotała.

Sulim westchnął, nie wiedząc jak jej pomóc. Jeżeli porządny posiłek, ciepła kąpiel i miękkie łóżko nic nie pomogą, to pozostanie im szukać jakiegoś wiejskiego znachora.

— Nie, naprawdę, umieram – kontynuowała – ten stół strasznie śmierdzi.

* * *

Co by nie mówić, kąpiel była cudowna. Choć beczka była mała i niewygodna, to nie przeszkadzało to Freji w rozkoszowaniu się ciepłą wodą. W końcu z ubolewaniem wyszła na zewnątrz i stanęła na chłodnej trawie. Wytarła do sucha rozgrzane ciało i założyła pożyczone od karczmarza ubrania. Nie do końca na nią pasowały, ale średnio się tym przejmowała, w końcu ostanie dni przeżyła, chodząc w ubraniach własnoręcznie zabitego człowieka. Wyszła zza prowizorycznego parawanu i weszła do karczmy przez tylne drzwi. W środku znajdował się mały pokójek z przygotowanym dla niej posłaniem. Nie do końca było to obiecane miękkie łóżko, ale nie można było mieć przecież wszystkiego. Spojrzała na leżącego w odsuniętym na przyzwoitą odległość posłaniu Sulima. Już spał. Nie chcąc go budzić, bezgłośnie ułożyła się na swoim. Przykryła się bawełnianym kocem i zamknęła oczy. Tej nocy zamierzała spać.

* * *

Karczmarz nie był człowiekiem ani starym, ani młodym. Nie był za gruby ani za wysoki, nie był też specjalnie chudy. Wyglądał, można by rzec, całkowicie przeciętnie. Z tłumu wyróżniała go jedynie starannie krótko przycięta broda. Nie miał rodziny. W młodości raz się ożenił, lecz jego wybranka stosunkowo szybko zmarła na nieznaną chorobę. Nigdy nie miał serca ponownie się żenić. Oddał się więc prowadzaniu odziedziczonej po jej ojcu karczmy. Dzięki temu miał czym wypełnić długie dni. Do

jego małej sypialni doszedł cichy trzask, na tyle głośny, by wyrwać go ze snu. Powoli wstał na nogi i zacisnął dłoń na uchwycie opartej o ścianę drewnianej pałki. Ruszył w kierunku, z którego doszedł do niego dźwięk. Ostrożnie wychylił głowę zza drzwi zaplecza i przyglądał się głównej sali karczmy. Choć było praktycznie całkowicie ciemno, rozpoznał sylwetkę osoby siedzącej przy ladzie. Westchnął cicho i opuścił uniesioną broń.

— Przepraszam – powiedziała Freja, zauważając go – nie chciałam nikogo budzić. Nie mogłam spać i zmęczyło mnie bezproduktywne leżenie.

Karczmarz podszedł do lady i po omacku znalazł mały ogarek. Zapalił go od dogorywającego paleniska i stanął przed kobietą, zastanawiając się co dalej zrobić. Postanowił spróbować jakoś nawiązać rozmowę.

— Dobrze – zaczął – tak jak już oboje nie śpimy, to porozmawiajmy chwilę. Opowiedz mi coś o sobie. W zamian poleję ci trunku – zaproponował, uśmiechając się przyjaźnie – karczmarze nigdy nie gardzą ciekawymi historiami.

— Opowiedzieć coś o sobie? – zapytała cicho – Czemu moje życie miałoby być ciekawe? I czemu miałabym o nim opowiadać?

— Z pewnością młodą kobietę podróżującą z bratem bardem musiało spotkać coś ciekawego – odparł lekko zdziwiony – choćby po co ci łuk?

— Poluję nim na niedźwiedzie – odpowiedziała bezwiednie – ale robię to stosunkowo rzadko, bo one strasznie obficie krwawią? – spojrzała na twarz karczmarza – Dobrze, nie poluje nim na niedźwiedzie.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął zza lady niewielką butelkę. Szarpnięciem wyciągnął korek i nalał klarownej cieczy do niewielkiej szklanki.

— Masz, pij. Z moich najlepszych prywatnych zapasów.

Freja niepewnie chwyciła naczynie i powąchała zawartość. Pachniała fermentowanymi jabłkami. Zastanowiła się chwilę. Upić się to nie była najgłupsza rzecz, jaką mogła w tej chwili zrobić, ba mogło to nawet pomóc. Przechyliła szklankę i jednym łykiem wypiła zawartość. Kaszlnęła, krzywiąc się lekko i przeniosła wzrok na karczmarza.

— A więc jak musisz wiedzieć – powiedziała nieśmiałym tonem – łuk należał do pewnych złoczyńców – odstawiła na ladę szklankę, dając znak ręką, że chce więcej.

— Ciekawe, ciekawe – powiedział karczmarz, uśmiechając się przyjaźnie, a kim dokładnie byli ci złoczyńcy? Złodzieje? Bandyci? Mordercy?

— Zajmowali się handlem niewolnikami – odparła spokojnie, wymownie stukając ciągle pustą szklanką.

— Handel niewolnikami? – zapytał mężczyzna, powoli lejąc złocistej cieczy – mało to wiarygodna opowieść. Handel niewolnikami jest zabroniony od wielu stuleci.

— W naszym królestwie owszem, jednak świat nie kończy się na naszym królestwie, prawda? Można ich łapać u nas, sprzedawać gdzie indziej.

— Dobrze, to powiedz, jak weszłaś w posiadanie ich łuku.

— Oj w najprostszy z możliwych sposobów. Prościej nawet od kradzieży – uśmiechnęła się łagodnie – zabiłam ich.

Karczmarz roześmiał się głośno. Odstawił butelkę i spojrzał w skryte w półmroku oczy Freji. Przeszedł go mrozący krew w żyłach dreszcz i natychmiast zamilkł. Bezwiednie położył rękę na rękojeści swojej pałki. Freja spokojnie opróżniła kolejną szklankę i ponownie lekko kaszlnęła.

— Żartuję – powiedziała, przybierając neutralny wyraz twarzy. Łuk należy do brata, używa go do polowania. Noszę go, bo brat twierdzi, że ładnie z nim wyglądam.

— To ci handlarze niewolników...

— Nigdy nie istnieli – powiedziała łagodnie – sam przecież mówiłeś, handel niewolnikami jest nielegalny od stuleci. Poza tym, jak młoda kobieta byłaby w stanie zabić dwóch rosnących mężczyzn? Szczególnie jak ją otoczyli z dwóch stron, a jej brat leżał nieprzytomny na ziemi. Mogłaby spróbować jednego wziąć z zaskoczenia, podrzynając mu gardło, ale ciągle pozostałby ten drugi. On jednak także nie spodziewałby się ataku i przez ułamek sekundy wpatrywałby się w tryskającą ranę kolegi. Można by spróbować, wykorzystać tę krótką chwilę, by cisnąć w niego nożem – spojrzała na otwarte usta karczmarza – nalej mi więcej, co?

Mężczyzna niepewnie kiwnął głowę i wyciągnął zza lady drugie naczynie. Czuł, że sam też musi się napić.

— Wiesz, co jest najgorsze? – zapytała, podnosząc pełną szklanekę – Gdy usłyszałam, jak ich ciała upadają na ziemię, odczułam satysfakcję. Gdy ciepła krew oblała mi policzki, poczułam przyjemność. Chciałam krzyknąć z radości, gdy wypuszczony z ręki sztylet po pojedynczym obrocie wbił się czysto w szyję – szybko opróżniła szklanekę – nalej mi więcej.

— Nie wiem, czy powinienem – powiedział cicho karczmarz – wypijaś już bardzo dużo.

— Nalej mi więcej – powtórzyła łagodnie. Tak się przynajmniej jej wydawało. Widząc, jak jej szklanka ponownie się napełnia, kontynuowała – to głupie, ale najwyraźniej nienawidzę siebie za to. Jak myślisz co mam zrobić?

— Kim jesteś? – zapytał coraz bardziej zmieszany karczmarz.

— Upitą arystokratką, wygadującą głupoty. Mój brak to tak naprawdę mój kochanek. Uciekłam z miasta, bo bałam się powiedzieć ojcu, że zaszłam w ciążę z grajkiem z plebsu.

Karczmarz kaszlnął głośno, krztusząc się trunkiem. Rozmowa powoli stawała się coraz bardziej abstrakcyjna.

— Mogę też być zbiegłą z rąk inkwizycji wiedźmą – kontynuowała – mogę też być złodziejką albo zabójczynią, która straciła pamięć. Mogę też być całkowicie czymś innym. Czymś, co znalazło się tu całkowicie przypadkiem. Czymś, co zmuszone było krążyć i obserwować was od tysiącleci – spojrzała na karczmarza całkowicie obłąkanym wzrokiem – był taki miły, grał ballady pod oknem. Jak, ja młoda i piękna, mogłam się mu oprzeć? Nie zastanawiałam się wtedy, czym skończy się mój niewinny romans. A skończył się śmiercią czterech ludzi – westchnęła cicho, opróżniając szklanekę – najgorsza jest ta książka, co ukradłam. Śni mi się co noc, budzę się zawsze złana potem. Nawet bliska obecność kochanka nie pomaga – przekrzywiła lekko głowę i wzięła głęboki oddech – po śmierci ojca brat postanowił się mną zaopiekować. Chodzę za nim już od pięciu lat, będąc niczym tylko obciążeniem. Nie mogę całe życie polegać na nim, co mam zrobić? Wiem, pójdę mu to powiedzieć.

Freja niepewnie wstała z krzesła i wykonała chwiejny krok. Natychmiast obaliła się na ziemię. Mężczyzna wybiegł zza lady i przykucnął przy niej.

— Powiedz mojemu bratu, że... – zaczęła, z trudem wymawiając słowa – że dziecko nie jest jego – dokończywszy zdanie, zamknęła oczy i natychmiast usnęła.

Karczmarz w chwili zadumy dokończył butelkę, przyglądając się leżącej na ziemi kobiecie. Podniósł ją i posadził z powrotem na krześle. Przykrył ją jeszcze szybko kocem i udał się do łóżka. Teraz to on nie mógł zasnąć.

* * *

Znowu śniła, lecz tym razem sen był inny. Nie biegła przez las, nie padał deszcz, nigdzie nie było tej cholernej książki. Leżała na kamiennej podłodze, skierowana twarzą w dół. Na plecach czuła pulsujący ból. Szybko skojarzyła go z innymi snami. Bolało to samo miejsce, w które została postrzelona podczas ucieczki przez las. Z oddali nadeszły powolne kroki. Ktoś złapał ją pod ramionami i zaczął ciągnąć po podłodze. Pojękiwała przy tym cicho. Freja zrozumiała, że musiała śnić trochę późniejsze wspomnienia. W końcu zatrzymali się i została gwałtownie posadzona na krześle. Krzyknęła, uderzając plecami o oparcie.

— Mówiłem ostrożnie! – krzyknął zza niej nieznany głos – otworzycie jej ranę.

Otworzyła ociężałe oczu i próbowała się rozejrzeć po ciemnym otoczeniu. Udało się jej wyłowić kształt stołu oraz siedzących przy nim czterech postaci.

— Dziękujemy doktorze – odezwała się jedna z nich – jaki jest jej stan?

— Będzie żyła, zakładając, że zostawicie ją w spokoju przez trzy, cztery dni. W tej chwili jest na pograniczu stracenia przytomności. Mówiłem, żebyście nie używali tych cholernych haczykowatych grotów. Cudem udało mi się wyciągnąć tę strzałę.

— Słyszysz nas? – zwrócił się do niej inny głos – Rozumiesz, co do ciebie mówimy?

Freja czekała aż usłyszy swój głos udzielający odpowiedzi na pytanie. Jej ciało jednak milczało. Ktoś cicho westchnął i czyjaś ręka wcisnęła ją w oparcie. Poczula odbierającą świadomość falę bólu.

— Czy nas słyszysz? – zapytał ponownie ten sam głos.

Najwyraźniej żyjąca w przeszłości złodziejka nie miała zamiaru odpowiadać na żadne pytania. Ręka ponownie przycisnęła ją do krzesła i ponownie rozległ się jej rozpaczliwy krzyk.

— Starczy – powiedziała stojąca za nią postać – nie po to wyciągałem ją z pogranicza śmieci, byście zabili ją jeszcze przed zadaniem pierwszego pytania. Nie rozumiem, czemu jeszcze nie zemdłała.

— Bo to szkolona gildyjna złodziejka, do tego pewnie jedna z ich najlepszych. Nie wierzę, by wysyłali do nas nowicjuszy. Patrz, jak nie odpowiada nam nawet na najgłupsze pytanie – uśmiechając się, zwrócił się do niej – czy chcesz sobie jeszcze trochę pokrzyknąć?

Freja zapłakała w myślach, prosząc, by siedząca na krześle kobieta odpowiedziała. Nagle dokoła niej wybuchła lekka szamotanina.

— Doktorze, proszę puścić jego rękę.

— Nie, nie zabijecie jej teraz tylko po to, by odczuć z tego powodu jakąś chorą satysfakcję.

— Wiesz, że twoje słowa poważnie podważają nasz autorytet?

Przez chwilę słyszała tylko swój nierównomierny oddech.

— Zgadzam się z doktorem – odezwał się kolejny głos – wiemy, że jest gildyjną złodziejką. Klienta pewno nie zna więc jedną rzecz, którą możemy od niej wyciągnąć to, co miała ukraść.

Freja poczuła silne zdziwienie należące do kobiety, której wspomnienia przeżywała. Jak mogli nie wiedzieć co ukradła? Przecież złapali ją z tą cholerną książką w rękę.

— Też się zgadzam – powiedział nowy głos – musimy dowiedzieć się, co było jej celem – usłyszała, jak ktoś wstaje z krzesła i podchodzi do niej – a więc złodziejko, ze względu na to, że wydajesz mi się być godną podziwu profesjonalistką, zaproponujemy ci prosty układ. Powiesz mi, co kazano ci ukraść. Jeżeli ci uwierzę, obiecuje ci całkowity brak jakichkolwiek dalszych pytań. Czy ktoś jest temu przeciwny? – nikt nic nie powiedział – A więc niech tak będzie. Masz czas do następnego ranka.

— Czerwoną książkę z komnaty ukrytej wewnątrz skarbcza z aktami własności – szepnęła cicho, a raczej usłyszała swoje szepnięcie.

Jej słowa można by porównać do palącego się ogarka, wrzuconego do pomieszczenia wypełnionego olejem. Siedzące przy stole postacie zerwały się z krzeseł i wszystkie naraz zaczęły krzyczeć.

— Doktorze, zabierz strażników i natychmiast opuśćcie pomieszczenie – powiedziała osoba, która przed chwilą składała jej propozycję – Mam nadzieję, że rozumiecie, że nigdy nie słyszeliście jej słów.

Usłyszała ciche kroki i trzaśnięcie masywnych drzwi.

— Czy wiesz, co jest w tej książce?

— Skąd wiesz cokolwiek o tej książce?

— Skąd wiesz, o jej istnieniu?

— Po co kazano ci ją ukraść?

Każda z pozostałych w pokoju osób wykrzykiwała inne pytanie. Freja poczuła, jak jej usta układają się w szeroki uśmiech.

— Cholera – stwierdziła któraś z nich.

W pomieszczeniu zaległa dłuższa chwila ciszy, w trakcie której wszyscy wpatrywali się w triumfalny uśmiech złodziejki.

— No cóż... – powiedziała stojąca przy niej osoba – powiedzieliśmy, że nie będziemy o nic pytali, prawda? O torturach nikt nic nie wspominał...

Ręka gwałtownie przycisnęła Freję w oparciu. Tym razem kobieta nie wytrzymała bólu. Oczy przysłoniła jej ciemność i zemdląła. Sen nie miał jednak najmniejszego zamiaru się skończyć. Natychmiast ujrzała kolejną scenę. Leżała sama w całkowitej ciemności. Każda, nawet najmniejsza, część ciała krzyczała o ratunek. W ustach czuła krew, zza ścian dochodziły do niej zniekształcone krzyki. Nie poruszała się, nie miała na to siły, ani fizycznej, ani psychicznej. Oddychała płytko, unikając za głębokich ruchów klatki piersiowej. Chciała się zbudzić, uciec jak najdalej od tego miejsca. Po wielu długich minutach do jej uszu doszły ciche kroki. Poczuła, jak przez jej ciało przechodzi fala paniki i strachu. Z głuchym trzaskiem otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka strużkę światła. Lekko uniosła głowę, spoglądając w niewyraźną twarz.

— Zabij – usłyszała swój błagalny głos.

Postać nachyliła się do jej ucha.

— Kimkolwiek byś, przez ostatnie dni zacząłem darzyć cię głębokim szacunkiem – wyszeptała – choć pewno moje słowa mało dla ciebie znaczą, wierzę w ciebie. Otrzyj łzy, spójrz dumnie przed siebie i zamknij usta. Nie daj się im złamać.

Postać szybko odsunęła się, stając pod ścianą. Do kamiennej celi weszły dwie osoby. Nie zwlekając, chwyciły Freję i zaczęły ciągnąć ją za sobą po podłodze. Choć Freja nie miała żadnej kontroli nad snem, jej myśli krzyczały wniebogłosy. Domyślała się czego zaraz będzie świadkiem i nie chciała tego doświadczać. Chciała wrócić do swoich małostkowych problemów, wrócić do snów o zabitych przez siebie ludziach. Jakie śmieszne wydały się jej teraz te problemy. Nagle, jakby słysząc jej myśli, sen

się zatrzymał. Ból ustąpił, oprawcy zastygli w miejscu. Obraz powoli stawał się coraz mniej ostry i w końcu całkowicie zniknął. Tej nocy już nic więcej nie śniła.

Rozdział V

Sierżant straży od paru godzin usiłował zasnąć. Ostatnio często miewał z tym problemy. Czując się bezsilny, wstał z łóżka i usiadł przy swoim małym biurko. Po omacku wyciągnął z szuflady niewielki ogarek. Zapalił go i postawił przed sobą. Bezmyślnie wpatrzył się w migoczący promyk, cierpliwie czekając na nadejście ranka. Z transu wyrwało go ciche skrzypnięcie podłogi. Gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał oświetloną słabym światłem postać podstarzałej kobiety. Ubrana w koszulę nocną, w rękę trzymała nóż. Bez słowa wykonała chwiejny krok do przodu, obserwując mężczyznę nieobecnymi oczyma. Na jej twarzy widniał obłąkany uśmiech. Sierżant zerwał się z krzesła, lecz kobieta wyskoczyła do przodu i zręcznie wbiła ostrze między jego żebra. Nawet nie zdołał wydobyć z siebie dźwięku. Przez chwilę obserwował, jak kobieta spokojnie wyciąga nóż z jego ciała i bez najmniejszego pośpiechu opuszcza pomieszczenie. Zsunął się z krzesła na podłogę i umarł.

* * *

Abnera obudził głośny krzyk. Bezzwłocznie podniósł plecy i rozejrzał się po swojej sypialni. Obok łóżka stała jego żona z szeroko otworzonymi ustami. Pomimo ciemności zdołał ujrzeć trzymany w jej reku nóż. Upuściła na ziemię ostrze i przykucała, łapiąc się za głowę.

— Co się stało? – krzyknął jej mąż – Jesteś ranna?

Zerwał się z łóżka i podszedł do żony. Ostrożnie odsunął pokryty zakrzepłą krwią nóż z zasięgu jej ręki. Ślady krwi znalazł również na jej ubraniu. Szybko oglądnął małżonkę ze wszystkich stron. Odetchnął z ulgą, nie znajdując żadnych ran. Objął ją rękami.

— Już dobrze – powiedział cicho – jestem obok ciebie.

Przez parę minut spoczywali w bezruchu.

— Co się stało? – powtórzył w końcu łagodnie.

— Nie wiem – szepnęła drżącym głosem – nie pamiętam. Usnęłam, po czym zbudziłam, się stojąc przy własnym łóżku z nożem w ręku.

Kupiec poruszył ustami, nie wydobywając z nich żadnego dźwięku. Nie wiedział co powiedzieć.

— Tracę rozum, prawda? – kontynuowała – Co mam teraz zrobić?

Coś nieokreślonego, z ogromną siłą kazało Abnerowi udać, że nic się nie stało. Kazało mu uspokoić żonę i następnie o całym zdarzeniu zapomnieć. Kazało mu kontynuować ich spokojne, normalne życie. Jednak przez lata praktyki przestępczej

Abner posiadał pewien bardzo silny instynkt. Krzyczał on teraz w jego głowie, głośniejszy od czegokolwiek innego, karząc mu natychmiast uciekać.

— Do świtu mamy trzy godziny – powiedział, spoglądając na wiszący nad łóżkiem zegar – otrzyj łzy i się przebież. Do tego czasu ma nas nie być już w mieście.

Słyszając te słowa, umysł Miri samoistnie przeskoczył na od dawna nieużywane tory. Musiała uciekać i tylko to się teraz liczyło. Bez słowa wstała na nogi i ruszyła rozpocząć przygotowania.

* * *

Wschodzące słońce powitało dwójkę jeźdźców, oddalających się w pośpiechu z dala od miasta. Sami nie wiedząc czemu, popędzali konie, czując głęboką potrzebę jak najszybszej ucieczki. Trochę później znaleziono sierżanta straży leżącego w kałuży krwi wewnątrz własnego gabinetu. Znaleziono też kartkę „*zamknięte do odwołania*” na drzwiach jednego z największych sklepów w mieście. Nikt jednak nie próbował powiązać tych dwóch pozornie niezależnych zdarzeń. Tym bardziej nikt nie próbował powiązać ich z pewną małą książką spoczywającą w domu właściciela zamkniętego sklepu.

* * *

Ciepłe promienie porannego słońca wybudziły Sulima ze snu. Ziewając, przekręcił głowę i spojrzał na puste posłanie Freji. Westchnął cicho, stwierdzając, że prawdopodobnie znowu nie zmrużyła oka. Nie tracąc czasu, szybko ubrał się i wyruszył jej poszukać. Ku swemu zdziwieniu znalazł ją przy ladzie karczmy. Spała przykryta kocem. Spojrzał na stojącą obok jej głowy pustą butelkę i domyślił się, co się stało.

— Przez twoją „*siostrę*” nie mogłem tej nocy zmrużyć oka – powiedział karczmarz, chwiejnym krokiem wychodząc zza zaplecza.

— Dzień dobry – odparł przyjaźnie Sulim, przyglądając się podkrążonym oczom karczmarza – coś ważnego mnie ominęło?

— W sumie to nie, tak sobie tylko rozmawialiśmy.

— O czym?

Karczmarz skrzywił się, siłąc się na sensowną odpowiedź.

— Szczerze mówiąc, to nie wiem – powiedział, po czym przypomniał sobie ostatnie słowa Freji – a, wiem, wiem, powiedziała, że dziecko nie jest twoje... – urwał, uzmysławiając sobie, że właśnie mógł ujawniać jakiś skrywany sekret.

Twarz Sulima zamarła w czymś pomiędzy zdziwieniem a konsternacją.

— Czyje dziecko nie jest moje? – zapytał spokojnie.

Karczmarz wziął oddech, chcąc coś powiedzieć, ale nagle zmienił zdanie.

— Jak teraz o tym pomyślę, to nie wiem – stwierdził cicho – tak czy inaczej, zaraz otwieram karczmę. Twoja... siostra nie może dłużej spać przy ladzie.

Sulim kiwnął głową. Spojrzał na spokojnie oddychającą kobietę. Nie chciał jej teraz budzić, miała co odsypiać.

— Pomożesz mi ją przenieść? Może uda nam się jej przy tym nie zbudzić.

Karczmarz zgodził się, wymownie przy tym wywracając oczyma.

* * *

Zbudziła się trochę po południu. Usiadła na swoim posłaniu i tępo wpatrzyła się

w ścianę. Śniło się jej coś ważnego. Spróbowała przywołać mętne wspomnienia, lecz po chwili zrezygnowała i postanowiła poszukać karczmarza. Była bowiem straszliwie głodna. Zastawszy karczmę pustą, wyszła na zewnątrz. Karczmarz stał obok naładowanego beczkami wozu i rozmawiał z ubranym po kupiecku mężczyzną. Rozmówcy, słysząc otwierające się drzwi, zamilkli i zwrócili się w jej kierunku. Nieznajomy mężczyzna uśmiechnął się szeroko i szturchnął karczmarza łokciem. Widząc na sobie ich wzrok, Freja szybko uzmysłowiła sobie, że ciągle miała na sobie pożyczoną prowizoryczną koszulę nocną. Szybko zamknęła drzwi i wróciła się przebrać. Dwaj mężczyźni kontynuowali rozmowę.

— No tłumacz się, skąd wziął taką dzierlatkę. Obawiałem się, że już nigdy nie oglądniesz się za żadną kobietą, a tu proszę.

Karczmarz uśmiechnął się kwaśno.

— Wczoraj wieczorem pojawiła się wraz ze swoim bratem w mojej karczmie. Szukali miejsca na nocleg.

— Przecież nie prowadzisz gospody – roześmiał się mężczyzna.

— Tak też im powiedziałem. Jednak wyglądali jak kupa nieszczęścia, no i zapłacili. Do tego jej brat twierdził, że jest muzykiem. Muzyków w karczmach nigdy za mało.

— Słuchaj, powiedz mi, wydali ci się oni podejrzani?

Karczmarz zadrżał, przypominając sobie nocną rozmowę.

— Pod każdym możliwym względem!

Mężczyzna rozejrzał się na boki i zniżył głos, nachylając się do karczmarza.

— Bo wiesz, przypomniałem sobie plotki, co słyszałem, jadąc tu z miasta. Podobno niedaleko Złamanej Strażnicy znaleziono martwych strażników miejskich.

— Tej gospody niedaleko miasta?

— Tak, tej. Ludzie gadali, że dzień przed tym, jak ich znaleziono, w gospodzie zawiła trójka podejrzanych ludzi, w tym postrzelona strzałą młoda kobieta – jeszcze bardziej zniżył głos – mówi się, że była to zbiegła inkwizycji wiedźma.

— Daj spokój, nie strasz mnie – zamyślił się na chwilę – masz coś do pisania pod ręką?

— Coś znajduję – mężczyzna zaczął chaotycznie przekopywać znajdujące się na wozie bagaże. W końcu wyciągnął skrawek kartki wraz z kawałkiem węgla. Podał je karczmarzowi.

— Ta dwójka planuje zostać tu przez jakiś czas. Narysuj szybko ich podobizny. Wracając do miasta bądź tak dobry i popytaj się czy ktoś wie, kim są. W żadną wiedźmę tam nie wierzę, ale nie chcę skrywać pod dachem przestępców.

Karczmarz oparł się o wóz i szybko nakreślił kontur dwóch sylwetek. Jedną narysował z lutnią przy pasie, drugą z łukiem na plecach. Następnie skupił się na twarzach. Te wykonał już starannie, dbając o to, by utrwalić wszystkie charakterystyczne cechy.

— Dobry jesteś – stwierdził z podziwem mężczyzna, przyglądając się wyłaniającym się z kartki postaciom.

— Jak dowiesz się o nich czegoś niepokojącego, postaraj się dać mi jakoś znać. Jednak jeżeli to jacyś tam zbiegli kochankowie to się nawet nie kłopotcz.

— Wiesz, nie mówiłem poważnie, powtarzając te plotki. Naprawdę wydają ci się oni aż tak podejrzani? Zrobili coś?

Karczmarz westchnął cicho. Może rzeczywiście był przewrażliwiony?

— Po pierwsze ta kobieta wczoraj wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć. Po drugie rozmawiałem z nią po tym, jak wypija sporo za dużo alkoholu. Mówiła... dziwne rzeczy.

Mężczyzna odebrał gotowy rysunek z rąk karczmarza i schował go w bagażu.

— Wiesz, ja również mówię dziwne rzeczy, jak wypiję za dużo alkoholu – powiedział, uśmiechając się – ale jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej, to popytam się o nich, co mi tam. W sumie to moja wina, sam cię nastraszyłem.

— Dziękuję – odparł karczmarz.

Stał przez chwilę w miejscu, obserwując, jak jego kolega wskakuje na wóz i powoli zaczyna oddalać się od wioski. Przerwała mu Freja, ponownie stając w drzwiach. Skrzywił się, patrząc na nią. Męskie spodnie? Prymitywna skórzana kurtka? Brakowało mu słów.

— Dzień dobry... Frejo? Dobrze pamiętam? – kobieta kiwnęła głową – Nie masz nic innego do ubrania? Cała wioska będzie wytykała cię palcami – zastanowił się chwilę – w sumie to wszyscy będą wytykali cię palcami niezależnie od tego, co będziesz miała na sobie, ale mogą to robić mniej agresywnie.

Freja rozłożyła ręce i przecząco kiwnęła głową, dając znać o ograniczeniach swojej garderoby. Jaka szanująca się kobieta podróżowała bez niczego na zmianę? W sumie tłumaczyło to po trochu, czemu ciągle nie była mężatką. Karczmarz przypominał sobie o kufrze z ubraniami żony. Lata po jej śmierci nie czuł już do nich takiego przywiązania jak kiedyś. Stojąca przed nim kobieta wydawała się mieć odpowiednią posturę. Cóż, lepiej by ktoś jej nosił, niż by gniły w ciemności.

— Choć za mną, może coś dla ciebie znajdę – powiedział – Nie będziesz przy najmniej swoim wyglądem gorszyła naszej społeczności wiejskiej.

Wyrzębali zakurzoną szarą suknię. O dziwo pasowała na Freję. Jej krój spełniał wszelkie wymagania przyzwoitości oraz nie podważał żadnych norm społecznych. Jednokolorowa suknia była zwyczajnie nudna, nie mając w sobie ani krzty wyrafinowania, ani uroku. Freja, szczerze mówiąc, wołała swoje spodnie, ale nie odmówiła i z wdzięcznością przyjęła podarunek. Poprosiła o późne śniadanie i po posiłku, wyszła na zewnątrz poszukać Sulima. Za dnia miała szansę dokładniej przyjrzeć się wiosce. Położona był wzdłuż koryta niewielkiej rzeki. Naliczyła ponad dwadzieścia porozrzucanych losowo gospodarstw oraz jeden młyn wodny. Czasem jakaś postać przerywała pracę, przyglądając się nieznanym, ale nikt nie nawiązał z nią rozmowy. Gdy dotarła do skraju wioski, jej uwagę zwróciła drewniana ława stojąca po przeciwnej stronie rzeki, zaraz obok dobrze wydeptanej ścieżki wchodzącej w głąb lasu. Siedział na niej starszy mężczyzna, wpatrując się z oddali w wioskę. Zadrżała lekko, czując na sobie jego spojrzenie. Uważnie rejestrował każdy jej ruch. Mężczyzna nagle podniósł rękę i wskazał palcem niedaleką polanę. Freja odwróciła głowę we wskazanym kierunku. Od razu rozpoznała leżącą na trawie sylwetkę. Serdecznie kiwnęła głową, dziękując nieznanemu, i ruszyła w stronę Sulima. Leżał na plecach, wpatrując się w trzymaną przed sobą kartkę papieru. Obok niego spoczywał otwarty kałamarz z włożonym piórem.

— Co robisz? – zapytała, stając nad nim.

Sulim oderwał wzrok od kartki i starannie przyjrzał się wiszącej nad nim twarzy.

— Usiłuję skomponować jakąś sensowną pieśń. Niestety atrament ciągle skapuje mi na twarz, zamiast zostawać na kartce. Właśnie rozważałem zmianę pozycji ciała. – powoli podniósł się z ziemi i dał znak ręką, by usiadła obok – Karczmarz nie chciał, byś straszyla mu klientów? – zapytał, przyglądając się jej nowej sukni, po czym nie

czekając na odpowiedź, szybko dodał – Odzyskałaś kolory na twarzy i nawet lekko się uśmiechasz. Wypałaś się wreszcie? Lepiej się czujesz?

Freja kiwnęła głową.

— A koszmary? Ciągłe dręczą cię koszmary? – kontynuował.

Zamyśliła się na chwilę. Gdzieś z odstawionych chwilowo na bok mętnych wspomnień sączyła się groza. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała spojrzeć w tamtym kierunku, ale nie miała zamiaru ani ochoty robić tego teraz. Wzięła parę głębszych oddechów.

— Drażliwy temat, rozumiem – powiedział, wzdychając – grunt, że czujesz się lepiej niż wczoraj.

— Co teraz? – zapytała, starając ponownie się uśmiechnąć – Co będziemy tu robić przez tyle dni?

— Powiedzieliśmy, że zostaniemy tu, aż odzyskasz siły. Proponuje, byś właśnie na tym się skupiła. Jedz dużo, śpij dużo, pobiegaj po lesie, poćwicz coś. Owszem, wyglądasz lepiej, ale do tryskania energią ci jeszcze daleko.

— A ty? – zapytała.

— To, co bardowie zazwyczaj robią – odparł, wzruszając ramionami – wieczorami będę bawił ludzi, za dnia pisał pieśni i czarował młode dziewczyny.

Brzmiało sensownie. Położyła się na rozgrzanej słońcem trawie i zamknęła oczy.

* * *

Zbliżał się wieczór. Freja siedziała przy ladzie karczmy i przyglądała się jak Cymir, bo tak najwyraźniej miał na imię karczmarz, nalewał piwa. Znudzona do szpiku kości, zabijała czas, pomagając mu nosić trunki. Odwróciła głowę i zerknęła na mały tłumek ściśnięty wokół jednego ze stolików. W samym jego centrum siedział Sulim. Od ponad godziny nieprzerwanie opowiadał różne wątpliwej jakości historie.

— Ktoś mieszka po drugiej stronie rzeki? – zapytała nagle.

— Owszem, stary Ewald. Czasem można go zobaczyć siedzącego na ławie przy samym skraju lasu. Jednak nigdy nie przychodzi do wioski.

— Brzmi ciekawie, opowiesz mi o nim?

Cymir bez słowa dokończył napełniać kufel i odstavil go na stole. Westchnął cicho i spjrzał na Freję.

— Długo by mówić... chce ci się słuchać? – widząc, jak kobieta entuzjastycznie kiwa głową, kontynuował – Podobno ma ponad sześćdziesiąt lat, ale tak naprawdę nikt tego nie wie. Mówi się, że za młodu był najemnikiem, bardzo drogim i bardzo dobrym najemnikiem, zatrudnianym przez najbogatszych ludzi. Jak to zwykle bywa, podczas jednej ze swoich przygód spotkał pewną kobietę, w której oczywiście natychmiast się zakochał. Jedni gadają, że była córką wpływowego kupca, inni, że krwiożerczą hersztynią¹ bandytów, jeszcze inni, że jedną z klientek, chcącą zapewnić sobie bezpieczną podróż. W każdym razie Ewald rzucił swój fach i za uzbierane przez lata pieniądze kupił tutaj spory kawał ziemi. Zamieszkał na nim ze swoją wybranką. Było to ze trzydzieści lat temu. Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem, ale ciągle pamiętam, jak wyglądała. Wyższa od ciebie o pół głowy, z ognisto rudymi włosami. Długo jednak nie było dane im być szczęśliwymi. Po roku zmarła przy porodzie, zostawiając swojego męża z nowo narodzoną córką. Mieszkający w pobliżu ludzie wykazali się jednak zrozumieniem i pomogli mu jakoś przebrnąć przez najcięższy

¹język polski jest szwiniastyczną świnią, to słowo oczywiście nie istnieje

okres. Widząc w swojej córce jedyną pozostałość po ukochanej, poświęcił się jej wychowaniu. Uczył ją tego, co sam umiał najlepiej, nie zważając na jej płeć oraz na zwyczaje i tradycje. Tak więc w wieku ośmiu lat wygrywała z każdym dzieckiem w walce na drewniane miecze. Nie wszystkim się to podobało, ale dziewczyna była urocza i wszyscy ją uwielbiali. Pamiętam, jak raz gołymi rękoma powaliła starszego od siebie o dziesięć lat chłopaka. Niestety świat najwyraźniej nienawidził Ewalda i jego rodziny. W wieku dwunastu lat dostała gorączki i po paru dniach zmarła. Po pogrzebaniu jej obok żony Ewald zniknął z wioski. Wszyscy pomyśleli, że skoczył z przepaści albo powiesił się gdzieś na jakimś anonimowym drzewie. Najwyraźniej wszyscy się mylili, gdyż po dziesięciu latach powrócił, z całą gamą świeżych blizn oraz ze sporym mieszkem złota. Podobno przez te dziesięć lat ponownie oddał się swojemu fachu i chcąc zginąć, brał najgorsze i najniebezpieczniejsze zlecenia. Jak było naprawdę, nikt tego nie wie. On sam nigdy nikomu nic nie powiedział. Wybudował mały dom odseparowany od reszty ludzi i zaszył się w nim. Było to siedem lat temu i od tego czasu praktycznie nikt z nim nie rozmawiał. Oczywiście często przechodzi na drugą część rzeki, by kupić niezbędne do życia towary, ale nikomu nie udało się z nim jak dotąd zamienić więcej niż trzy słowa. Daliśmy więc mu żyć w spokoju, acz zawsze ktoś pamięta, by coś położyć na grobach jego zmarłej rodziny. Kto wie, może kiedyś pogodzi się z ich stratą, wejdzie do mojej karczmy i zamówi piwo?

Karczmarz skończył mówić i spojrzał wymownie na Freję, oczekując jej reakcji.

— Naprawdę po tylu latach nadal dbacie o groby rodziny człowieka, który praktycznie się od was odciął? – zapytała – to naprawdę wzruszające.

Karczmarz zaśmiał się nerwowo.

— I nikt nie próbował go okraść? – kontynuowała – Przecież podobno jest stary, przywiózł ze sobą wór złota i mieszka sam w odseparowanym od reszty domu – spojrzała na twarz karczmarza i czując pogarszającą się atmosferę, szybko się opanowała – przepraszam, to było niegrzeczne z mojej strony. Dziękuję za podzielenie się ze mną tą ciekawą, wzruszającą i niewątpliwie prawdziwą historią.

Dalsza rozmowa jednak nie chciała się już kleić. Karczmarz jeszcze przez dłuższy czas wpatrywał się w siedzącą przed nim kobietę. Choć miała na sobie ubrania jego żony, nie przypominała mu jej nawet w najmniejszym stopniu. Jego małżonka chodziła zawsze wyprostowana, ze starannie zaplecionym blond warkoczem. Dbiała, by ku wszystkim zwracać się ze serdecznym uśmiechem. W towarzystwie nieznamomych przyjmowała maskę spokoju. Natomiast Freja? Znudzona, wodziła palcem po odrobinie rozlanego na ladzie piwa. Sama ta czynność przeczyła wszystkiemu, czym była jego małżonka. Westchnął cicho, przyglądając się jej luźno opadającym włosom. Wyglądały, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że można by je ułożyć albo chociaż uczesać. Wpatrując się w nią tępo, poczuł się nieswojo. Płytkie wymiany zdań były fundamentem jego fachu, zmusił się więc do nawiązania rozmowy. Niestety kobiety nie były typowymi bywalcami karczmi i nie widział, od czego zacząć. W końcu jednak udało się mu wybrać odpowiednio błahe pytanie. Otwierał już usta, gdy przerwał mu okrzyk radości zgromadzonych wokół Sulima ludzi. Mocno już podpici, zaczęli jednym głosem śpiewać jakąś znaną wszystkim sprośną piosnkę. Takiego hałasu nie było sensu przekrzykiwać. Zresztą jego niedoszła rozmówczyni właśnie wstawała i krzywiąc się, dała znak ręką, że idzie udać się na spoczynek. Sam nie wiedząc czemu, odetchnął z ulgą, gdy zniknęła za drzwiami. Wróciła jednak po parunastu minutach, ku jego przerażeniu w koszuli nocnej. Szybko oglądnął

się na ciągle rozśpiewanych ludzi. Na szczęście byli zbyt rozbawieni i pijani, by ją zauważyć.

— Sprzedałbyś butelkę tego jabłkowego czegoś? – przekrzyczała śpiew, nachylając się najbliżej, jak się tylko dało – jutro zapłacę.

Cymirowi zabrakło słów. To się już nie mieściło w definicji niestosowności. Postanowił jutro poważnie porozmawiać z jej bratem. Zakładając, że naprawdę był jej bratem. Nie odzywając się, wyciągnął butelkę i postawił ją na ladzie. Sięgał po szklanke, gdy Freja podziękowała i odeszła z samą butelką. No cóż, przynajmniej nie będzie go budziła w nocy. Minęły jeszcze ze dwie godziny i czas było zamykać. Ostrożnie wyprosił rozbawionych gości. Zajęło to chwilę i nie obeszło się bez użycia umiarkowanej siły, ale w końcu zamknął drzwi za ostatnią osobą. Odwrócił się i zerknął na ciągle siedzącego na krześle muzyka. Ku jego zaskoczeniu, wesół i śmiejący się cały wieczór bard miał smutną i zrezygnowaną miną. Dwie minuty temu sprawiał wrażenie pijanego, teraz jego spojrzenie było bezwzględnie trzeźwe.

* * *

Widząc konsternację na twarzy karczmarza, Sulim szybko ponownie się uśmiechnął. Wstał z krzesła i powoli opuścił salę, zmierzając do swojej sypialni. Zmęczony po całym wieczorze bawienia ludzi, położył się na swoim pościeliu. Czasem przerażała go łatwość, z jaką przychodziło mu zdobyć zaufanie ludzi. Większość obecnych w karczmie mężczyzn już widziała w nim serdecznego przyjaciela. Wystarczyło uśmiechnąć się, sprawić wrażenie uważnego słuchacza, zgodzić się z wygłaszanymi przez nich poglądami. W sumie to już nie pamiętał, od kiedy przestało go to bawić. Może nigdy go nie bawiło? Od lat mechanicznie odgrywał swoją rolę, traktując ją jedynie jako sposób zarobienia na chleb. Lubił za to gościć w przydrożnych gospodach, odległych od wszelakich osad ludzkich. Często spotykał w nich nietypowych ludzi opowiadających ciekawe historie. Coś, czego próżno było szukać po wsiach, gdzie światopogląd ludzi najczęściej kończył się wraz z ich wioską.

— Od dawna wędrujesz? – zapytał go cichy głos.

Sulim odwrócił głowę w stronę leżącej obok kobiety. Było za ciemno, by ujrzyć cokolwiek poza czarną plamą. Obudził ją? Może znowu nie mogła zasnąć? Postanowił po prostu odpowiedzieć.

— Od ukończenia dwunastego roku życia. Matka przekonała pewnego przechodzącego przez miasto muzyka, że mam godny zachodu talent. Zabrał mnie ze sobą w świat.

— Matka oddała własne dziecko nieznajomemu?

Sulim uśmiechnął się kwaśno. Czemu miał jej opowiadać o sobie? Sam nie wiedział o niej nic.

— Byłem czwartym synem kowala bez krzty zacięcia ku pracy w kuźni – odpowiedział mimo wszystko – moja matka kochała muzykę i szybko zauważyła mój talent. Długo szukała dla mnie nauczyciela i nie wybrzydzała, gdy w końcu go znalazła.

W rzeczywistości o całości zaważył jeszcze jeden czynnik. Ojciec Sulima zaczynał w tym okresie coraz więcej pić. Matka chciała odsunąć najmłodsze dziecko z zasięgu jego ręki. Wracanie wspomnieniami do tego czasu nie było najprzyjemniejszą rzeczą. Błądząc myślami, Sulim wpatrzył się w sufit. Freja milczała, nie zadając kolejnych pytań. Może czekała aż on się o coś zapyta? Może nie? Skąd miał wiedzieć? Był

tylko prostym muzykiem, uczącym się pół życia jak słowami zarabiać pieniądze.

— A ty, w jakim wieku opuściłaś swój dom? – zapytał się ostrożnie.

Nie odpowiedziała. Zaczął się zastawiać czy zwyczajnie usnęła, czy raczej nie chciała odpowiadać. Po paru minutach czekania dał za wygraną i zamknął oczy. Z pół snu wyrwał go jej cichy głos.

— Pamiętam setki lat, widzę w nich ludzi, lecz nie widzę żadnych twarzy – wyszeptala – Widzę zdarzenia, lecz nie widzę ich znaczenia, widzę za dużo, by widzieć dokładnie. W tym wszystkim prawdopodobnie spoczywa gdzieś ledwo zauważalna historia mojego pochodzenia. Nie potrafię jej znaleźć. Nie znam jej. Może kiedyś ją znałam, lecz teraz już nie.

Drwiła z niego? Nie, nie brzmiało to jak żart, jej słowa niosły sobą pewną trudną do zdefiniowania melancholię. Zachichotał w myślach. Podróżował z wariatką. Ciekawe czy naprawdę ktokolwiek ją ścigał?

— Jest też druga pamięć, pamięć nienależąca do mnie, lecz jednocześnie moja. Przypomina ona chaotycznie porzucane fragmenty, których kolejności i znaczenia mogę się jedynie domyślać. Widzę ją za to w najdrobniejszych szczegółach. Słyszę rozmowy, odczuwam emocję. Czuję dotyk, czuję ból. Właśnie w niej potrafię odnaleźć krótki, oderwany od reszty kawałek, częściowo odpowiadający na twoje pytanie. Może być on snem, może być rzetelnym opisem rzeczywistości. Nie wiem tego. Mogę go jedynie opisać tak, jak go postrzegam.

Umilkła, usiłując ubrać obce sobie odczucia i obrazy w słowa. Wystarczająco trudno było mówić o własnych wspomnieniach. Zamknęła oczy i w ciszy ułożyła parę pierwszych zdań. Nie były one idealne oraz brakowało wszystkich pozostałych, ale i tak rozpoczęła mówić.

— Głodna i zmęczona powoli idę ulicą miasta. Przez ramię przerzuconą mam skórzaną torbę. Znam to miasto, znam je bardzo dobrze – ton jej głosu był bezbarwny, starała się raczej opisywać emocje niż wplatać je pomiędzy słowa – znam wszystkie ulice, znam budynki. Jest środek dnia, lecz miasto jest martwe. Jedynym obecnym dźwiękiem są moje rytmiczne kroki. Staram się nie rozglądać, skupiam się na kamiennej ulicy. Czasem mój wzrok zawędruje gdzieś nieproszony. Widzę wtedy opartych plecami o mury ludzi. Ludzi siedzących w całkowitym bezruchu, z rękami bezwładnie spoczywającymi na ziemi. Ludzi o skórze bladej jak kreda. Staram się o nich nie myśleć, ignorować ich, udawać, że nie istnieją. Nie wychodzi mi tą. Przyspieszam kroku. Po krótkim marszu dochodzę do frontu bogato zdobionego budynku. Pociągam za klamkę. Drzwi zapraszająco otwierają się, wypuszczając ze środka odrażający swąd zgnilizny. Cofam się gwałtownie, rozważając czy nie odejść. Po krótkiej chwili zasłaniam nos rękawem i przekraczam próg. Nie zwracam uwagi na przepełnione przepychem wnętrze. Wchodzę do pierwszego z brzegu pomieszczenia. Okazuję się ono sypialnią. Na stojącym pośrodku łóżu leży para rozkładających się z wolna ciał. Czując coraz większe mdłości, wybiegam na ulicę. Nie chce wracać do środka. Strach, samotność i zmęczenie mieszają się ze sobą. Wygrywa zimna determinacja. Ponownie zasłaniam twarz rękawem i przechodzę przez próg mieszkania. Tym razem omijam sypialnię, próbując kolejnych pomieszczeń. W końcu znajduję kuchnię. Zdejmuję z ramienia torbę i wypełniam ją pośpiesznie jedzeniem. Czerstwy chleb, lekko nadgniłe jabłka, bułki z wodą, kawałki suszonego mięsa. Wychodzę z powrotem na korytarz, mój wzrok pada na zawieszone na ścianie lustro. Widzę w nim małą, co najwyżej ośmioletnią dziewczynkę. Twarz zakrytą grubą warstwą brudu, włosy krzywo przycięte przy samej głowie. Niewielkie ciało walczące z cię-

zarem wypełnionej torby. Wracam na ulicę i ruszam przed siebie. Wkraczam do innej dzielnicy, ciemniejszej, brudniejszej i biedniejszej dzielnicy. Tu ludzie nie leżą już tylko pod murami, ale też i na środku drogi. Przyśpieszam, czując zbierające się w oczach łzy. Po chwili zaczynam biec. Zatrzymuję się dopiero przed malutkim drewnianym domem, ciasno wciśniętym pośród innych mu podobnych. Wchodzę do środka, mieszkanie nie ma oddzielnych pomieszczeń. Podchodzę do leżącej w kącie na słomianym materacu kobiety. Ocieram łzy i z ulgą kładę na ziemi torbę. „*Mamo, przyniosłam ci wody*”. Słyszę własne słowa, gasnące w głuchej ciszy. „*Znalazłam też jabłko*”. Słyszę narastające w nich przerażenie. „*Mamo...*” Czuję własny wzrok spoczywający na szeroko otwartych oczach kobiety. Ostrożnie przykładam ucho do jej piersi. Cisza. Tego, co czuję nie potrafię opisać słowami. Potrafię za to opisać krzyk. Krzyk, który wprawia martwe miasto w leniwe drgania. Jest to mój krzyk, wydobyty z mojego małego gardła. Krzyk niosący sobą wyrwane siłą resztki ludzkiej nadziei.

Freja zamilkła, kończąc opis fragmentu wspomnień. Kosztował on ją sporo energii. Pomimo prób utrzymania dystansu, czuła jak jej emocje mieszały się z emocjami nieistniejącej już dziewczynki.

— Przepraszam – powiedziała, oddychając płytko – to nie był dobry pomysł.

Sulim wiele chciał w tym momencie powiedzieć, chciał też milczeć. Część jego jestestwa krzyczała, część chciała zapomnieć, co usłyszała, część analizowała, zapamiętywała i segregowała posłyszane informacje. Ta ostanía powiązała nowe fakty ze starymi faktami i wywnioskowała z nich jeszcze nowsze fakty.

— Siedemnaście lat temu – zdziwiony, usłyszał swój własny głos – przez okolice przeszła plaga. Najbardziej dotknięte było miasto Rewa. Podobno nikt nie przeżył. Z tego, co mi wiadomo, miasto zyskało miano przekłętego i ciągle jest opuszczone.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Dziękuję – powiedziała cicho Freja – dałeś mi pierwszy dotykalny punkt zaczepienia mojej osoby w przeszłości.

* * *

Freja zatrzymała się jakieś pół godziny drogi od wioski. Szła wzdłuż koryta rzeki, uważając, by nie zniszczyć sukni. Przyglądała się powoli płynącej wodzie. Nie wydawała się specjalnie głęboka, nurt też nie sprawiał wrażenia silnego. Zanurzyła w niej rękę, sprawdzając temperaturę. Westchnęła cicho i ściągnęła z pleców małą sakwę. Wyjęła ze środka spodnie. Przebrała się i zaczęła biec powolnym truchtem. Od przyjazdu do wioski zdążyły już minąć cztery dni. Czas ten poświęciła głównie spaniu i jedzeniu. Odzyskała dzięki temu część sił. Krótki bieg ciągle jednak sprawiał jej trudność. Po paru minutach odpoczęła chwilę przy prowizorycznej kładce położonej w poprzek rzeki. Postanawiając dla odmiany wrócić przeciwniegiem brzegiem, przeszła na drugą stronę rzeki. Na zmianę szła i biegła, starając się nie zatrzymywać. Będąc już niedaleko mostu w wiosce, skręciła w las, chcąc odpocząć i ponownie się przebrać przed powrotem. Po chwili spaceru znalazła obiecująco wyglądający pień. Nie udało się jej jednak na nim usiąść. Coś gwałtownie nią szarpnęło, ciągnąc do góry. Zawisała kawałek nad ziemią, z liną zaciśniętą wokół kostki. No tak, była niedaleko chatki starego najemnika a on, jak sama zauważyła, mieszkał sam i podobno miał wór złota. Westchnęła, sięgając za koszulę. Niestety nóż leżał na ziemi, skutecznie poza zasięgiem jej ręki. Przeklęła brzydko, zastanawiając się, co

można było jeszcze zrobić. Postanowiła się poddać.

— Panie Ewald? – krzyknęła.

Wisiała tak ponad godzinę. Wołała co jakiś czas imię najemnika, licząc na to, że w końcu się zjawi. I rzeczywiście, w końcu się zjawił. Powoli odłożył na ziemię przewieszzonego przez ramię królika, po czym przykucał przy jej obróconej do góry nogami głowie. Jego twarz, choć pokryta paroma różnorakiej wielkości bliznami, wyglądała... normalnie. Freja sama nie wiedziała, czego się spodziewała. W każdym razie ujrzała zwyczajnego podstarzałego mężczyznę o zauważalnie podkrążonych oczach i z krótko przyciętą brodą. Ten najpierw spojrzał jej w oczy, po czym wziął do rąk leżącą na ziemi sakwę. Nie znalazł w niej jednak nic poza starą suknią. Podniósł więc leżący obok nóż i usiadł ciężko na pieńku. Freja westchnęła cicho z zazdrości. Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru się odzywać. Zaczęła więc szybko szukać odpowiednich do zaistniałej sytuacji słów.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie mam pojęcia, co powinnam teraz powiedzieć – powiedziała szczerze – wiszę tu od dobrej chwili głową w dół, a to nie wspiera wylewnej elokwencji.

Przez chwilę obawiała się, że starzec wstanie z pieńka i sobie pójdzie. Podeszedł jednak do niej i ramieniem przycisnął ją w tali. Drugą ręką poluzował pętlę i powoli postawił kobietę na ziemi. Pomógł jej nawet zachować równowagę. Oddał jej nóż, podniósł królika i bez słowa odszedł w swoją stronę. Gdy Freji przestało się wreszcie kręcić w głowie, już go nie było.

* * *

Sulim siedział w samotności przy jednym ze stolików. Wpatrywał się w kawałek kartki zapisany nutami. W drzwiach pojawiała się Freja.

— Gdzie byłaś? – zapytał, nie odwracając głowy – przegapiłaś obiad. Cymir był wściekły, musiałem wysłuchać jego moralizującego wykładu na temat moralności.

— Przepraszam, utkwiałam na parę godzin w lesie – odpowiedziała.

Muzyk rzucił okiem na podchodzącą ku niemu kobietę i westchnął cicho. Zastanowił się, czy chciał znać szczegóły.

— Cymir odłożył ci twoją porcję gdzieś pod...

— Wpadłam w sidła i wisiałam, sama nie wiem jak długo, z głową skierowaną ku ziemi – powiedziała, przerywając mu wpół zdania – niezbyt przyjemne przeżycie, boli mnie noga i ledwo tu doszłam.

Rzeczywiście, lekko kulała. Zmęczona usiadła na stojącym obok niego krześle. Zdjęła jednego buta i wysunęła na bok nogę, pokazując mu zdartą wokół kostki skórę. Sulim skrzywił się lekko. Wyglądało boleśnie.

— Współczuję, ale schowaj nogę, bo nie wytrzymam psychicznie kolejnej gadki naszego uczynnego gospodarza. Lepiej przyniosę ci jedzenie.

Wstał i wyszedł na chwilę za zaplecze. Gdy wrócił z miską wypełnioną zimną kaszą, Freja trzymała przed oczyma jedną z jego kartek.

— „Z Rewy plagi miasta, z domów pustych wyrasta, żywe dziecko jedyne, tracąc serce matczyne.” – przeczytała – ładnie, ale nuty niestety nic mi nie mówią. Zaśpiewasz mi to?

Sulim przeklął brzydko w myślach. Oczywiście, że przejrzała jego bazgroły, czemu miałyby ich nie przejrzeć? Zamąciła mu w głowie jakąś ranną kostką i całkowicie o nich zapominał. Co zrobić. Zaśpiewał. Najwyraźniej ciut za głośno, bo słowa doszły

do uszu karczmarza. Wszedł do sali i rzucił z lekka gniewne spojrzenie w kierunku swoich gości.

— Co to, to nie. Cenie pański śpiew, ale żadnych pieśni o pladze. Jeszcze ją tu przywołacie, nigdy nie można być za ostrożnym. Do tego wszystkich mi wystraszyć takim śpiewaniem.

— Dziękuję za ostrzeżenie – odparł spokojnie muzyk, w międzyczasie kładąc miskę przed Freją – będę unikał tej tematyki.

Cymirowi najwyraźniej to wystarczyło, gdyż zadowolony kiwnął głową i poszedł kontynuować przerwana czynność, czymkolwiek ona była.

— Nie jesteś zła albo urażona? – zapytał ostrożnie.

Pokiwała tylko przecząco głową, nie przerywając przelykania lekko wysuszonej już kaszy. Nie wiedział co jeszcze powiedzieć. Usiadł więc ponownie na swoim miejscu i pobierał wszystkie kartki w schludną kupkę. Wpatrzył się tępo w niewielkie gęsie pióro sterczące z kałamarza. Raczej nie było szans, by teraz był w stanie jeszcze coś stworzyć. Po chwili Freja upuściła drewnianą łyżka do pustej już miski.

— To ja pójde pomóc Cymirowi, w czymkolwiek on tam robi¹ – powiedziała, wstając z krzesła – zajmę się czymś, to może zapomnę o irytującym rwaniu w biodrze.

Złapała jeszcze miskę i kulejąc, odeszła zostawiając Sulima samego. Ten zamknął kałamarz i podniósł opartą o nogę stołu lutnię. Pociągnął lekko za struny i wsłuchał się chwilę w ciepłe dźwięki. Jego wzrok padł na leżącą na wierzchu kartkę, pokrytą wieloma rzędami intensywnie pokreślonych nut. Palce same zagrały krótką melodię, a powietrze rozniosło ją po całej karczmie.

— Pasuje do słów – krzyknął kobiecy głos gdzieś zza ściany.

Uśmiechnął się i zagrał coś radośniejszego.

* * *

Następnego ranka ból częściowo ustąpił. Choć nadwyreżona kostka ciągle dawała o sobie znać, to mogła już normalnie chodzić. Po sytym śniadaniu i wysłuchaniu nad wyraz ciekawych poglądów społeczno-politycznych Cymira postanowiła zniknąć na parę godzin. Wymknęła się niepostrzeżenie i nie mając żadnego konkretnego celu na myśli, ruszyła przed siebie. Będąc już po drugiej stronie mostu, stanęła w miejscu, zastanawiając się, gdzie tak właściwie zmierzała. Odwróciła na chwilę głowę, rozważając czy na pewno nie zawrócić. Nie zawróciła. Idąc wzdłuż brzegu rzeki, dotarła do drewnianej ławy, na której parę dni temu widziała Ewalda. Kawałek obok niej w las wchodziła wąska ścieżka. Skreśliła w nią i po paru minutach marszu znalazła się przed niewielką drewnianą chatą. Ostrożnie podeszła do drzwi i niepewnie w nie zapukała. Rozległy się ciche kroki i po chwili przed nią stanął stary najemnik. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Ja... – zaczęła, lecz uświadamiając sobie, że nie wie, po co przyszła, zamilkła.

Mężczyzna dał jej znak ręką, by odsunęła się z przejścia, po czym wyszedł na zewnątrz. Wyjął z kieszeni masywny klucz i przekręcił zamek w drzwiach. Ruszył powoli w kierunku lasu i po paru krokach odwrócił głowę, sugerując, by do niego dołączyła. Ubrany był jak wczoraj, w grubą skórzaną kurtkę oraz sztywne spodnie.

— Przepraszam, ale gdzie idziemy? – zapytała po paru minutach marszu.

¹ plótl warkoczyki ze stokrotek

Jako odpowiedź dostała jedynie gest ręki zbywający pytanie. Chwilę później doszli do niewielkiej polany. Wyraźnie wydeptana trawa otoczona była niewysokim wałem, usypanym z ziemi i kamieni. Tworzył on prostokąt wielkości małego pomieszczenia. Ewald dał jej znak, by weszła do środka, a sam zniknął na chwilę między drzewami. Nim zdążyła na poważnie rozważyć ucieczkę, wrócił, niosąc w ręku dwa podstarzałe, drewniane miecze. Przekroczył wał i rzucił jej jeden z nich. Złapała go i instynktownie uniosła w pozycji obronnej. Najemnik szczegółowo zarejestrował ten ruch, po czym przyjrzał się jej dłoni zaciśniętej na rękojeści. Zaczął powoli iść w jej kierunku i po paru krokach płynnym ruchem dłoni obrócił opuszczony dotychczas miecz. Zaatakował nieoczekiwanie. Sparowała, sama nie wiedząc jak. Mężczyzna ponownie opuścił miecz i spojrzał jej w oczy. Powolnym ruchem złapał Freje za nadgarstek, ściskając go mocno. Jęknęła cicho, upuszczając na ziemię broń. Najemnik puścił ją i odszedł dwa kroki do tyłu.

— Mogłabym się dowiedzieć, o co panu chodzi? – zapytała, rozmasowując pulsującą bólem dłoń.

Starzec otworzył usta, lecz je szybko zamknął. Ponownie się zamyślił.

— Masz budowę ciała osoby trenującej walkę od dziecka – powiedział po długiej chwili ciszy – lecz jednocześnie wydajesz się słaba i bezsilna. Czasem kroczysz lekko, nie wydając żadnych dźwięków, czasem chodzisz jak parobek, na nic nie zwracając uwagi. Masz wyśmienity refleks i bezbłędne odruchy, lecz jednocześnie sprawiasz wrażenie, jakbyś nie wiedziała, co robisz. Nigdy nie spotkałem się z niczym podobnym.

Powiedzieć... nie powiedzieć... Raczej nie powinna była opowiadać każdej napotkanej osobie o ucieczce z więzienia. Nie była jednak w stanie wyobrazić sobie Ewald biegnącego powiadomić o niej inkwizycję.

— Czy jakbym powiedziała, że straciłam znaczną część pamięci po bliżej nieokreślonym okresie goszczenia u inkwizycji, odpowiedziałoby to na parę pytań?

— Tak – stwierdził, wpatrując się w jej w oczy – to rzeczywiście by wyjaśniało wiele rzeczy. Zakładając oczywiście, że mówisz prawdę – milczał chwilę, błędząc gdzieś myślami – albo nie przedstawiasz jej w pokretny sposób – dokończył – W takim razie kim uważasz, że byłaś?

— Złodziejską zabójczynią? – odpowiedziała, wzruszając ramionami – albo zabójczą złodziejką.

— Czemu do mnie przysłaś?

— Czemu mnie tu przyprowadziłeś?

— Chcesz, bym ci pomógł? – zapytał, wskazując palcem leżący na ziemi miecz – mogę od nowa nauczyć cię podstaw.

Freja wlepiała wzrok w drewnianą broń. Może właśnie po to tu przysła? Zdecydowała się.

— Chcę – odpowiedziała krótko.

* * *

Słońce powoli już znikало za horyzontem. Sulim od ponad godziny krążył po wiosce, szukając Freji. Nie widział jej od rana. Sprawiał wrażenie wściekłego i rzeczywiście taki był. Na niczym nie mógł się skupić, w kółko rozważając te same myśli: Odeszła zostawiając mnie samego? W końcu jestem tylko losowo spotkanym bardem, czemu miała ze mną podróżować? Czemu ja miałem z nią podróżować? Rozsierdzony

zgrzytał zębami. Gdyby minęły trzy dni. Albo chociaż pełna doba. Wtedy mógłby się zamartwiać, ale po paru godzinach było to zwyczajnie śmieszne. Koń ciągle stał w stajni, bagaże były na swoim miejscu. Nie poszłaby bez niczego. Pożegnałby się. Jak najbardziej logiczne argumenty. Jeśli miał się już czymś przejmować, to przejmowałby się, czy nie stało się jej co złego. Nie, nic nie pomagało. Po długich próbach racjonalizowania w końcu się poddał. Postanowił rozwiązać problem w bardziej bezpośredni sposób, zwyczajnie szukając jej. Miał jednak już dosyć bezsensownego chodzenia po wiosce i rozważał powrót do karczmy. Zanim zdążył jednak podjąć decyzję, ujrzał znajomą sylwetkę idącą przez most. Chciał krzyknąć, chciał pobiec, chciał wiele rzeczy, lecz się opanował. Wtedy ujrzał, że z trudem stawiała kroki, kurczowo trzymając się barierki. Zostawiając całe swoje opanowanie za sobą, podbiegł do niej. Choć światła było już mało, bez problemu zauważył poplamione kropkami krwi ubrania, rozcięty policzek oraz pokryte zadrapaniami dłonie. Podwinięte rękawy kurtki odsłaniały liczne siniaki.

— Co się stało? – krzyknął przerażony.

Freja odwróciła w jego stronę głowę i uśmiechnęła się kwaśno.

— Nic mi nie jest – powiedziała niezbyt przekonywająco – jestem tylko trochę poobijana. Wiem, wyglądam prawdopodobnie strasznie, ale naprawdę nic mi nie jest. Parę siniaków i płytkie zacięcie.

— Ledwo idziesz! – kontynuował, w najmniejszym nawet stopniu nieprzekonany.

— Bo jestem zmęczona, ale nie ranna. No i oberwałam raz w lewą łydękę – powiedziała, rozmasowując bolące miejsce – Spokojnie, wszystko wyjaśnię. Teraz jedyne, o czym marzę, to położyć się na miękkim posłaniu.

Przez chwilę Sulim usiłował coś powiedzieć. Spojrzał jeszcze raz na poobijaną postać i w końcu kiwnął głową na znak zrozumienia.

— Pójdźmy za karczmę, przyniosę ci ubrania i się tam przebierzesz. Może uda nam się nikogo po drodze nie spotkać.

Chciał pomóc jej iść, ale odmówiła, chcąc pokonać resztę drogi o własnych siłach. Powoli przeszli przez pogrążającą się z wolno w nocy wioskę. Czasem w oddali zauważali kogoś wracającego przez pole do domu, jednak szczęśliwie nikt nie zwrócił na nich uwagi. Dotarli w końcu do tylnych drzwi karczmy. Zanim zdążyli pociągnąć za klamkę, ze środka wyszedł karczmarz. Niósł w rękach garnek z pomyjami. Spojrzał na Sulima, spojrzał na oświetloną wypadającym z wnętrza otwartych drzwi światłem Freję.

— Co się... – zaczął.

— Spadła ze schodów – przerwał mu Sulim, instynktownie mówiąc pierwszą rzecz która przyszła mu do głowy.

— Spadła ze schodów? – zapytał, nie dowierzając.

— Spadłam ze schodów – potwierdziła, kiwając głową Freja.

Sytuacja była beznadziejna. Zmusiła swój zmęczony umysł do chwili intensywnej pracy. Połączyła razem parę faktów i na szybko splotła adekwatnie wiarygodne kłamstwo.

— Poszłam oglądnąć okolice chaty Ewalda. Wiesz, złoto i takie tam... – powiedziała cicho.

Cymir na chwilę zmarszczył czoło, po czym głośno westchnął.

— Nie ty jedna – powiedział z przekąsem – i co? Brat cię w końcu znalazł w jakimś wilczym dole? Mogłem się spodziewać – spojrzał ostro na Sulima.

— Ja o niczym nie wiedziałem – odpowiedział, zasłaniając się rękoma – przecież szukałem jej ładne parę godzin.

— No dobra, wprowadź ją do środka, później z wami porozmawiam. Nic nie złała?

Oboje pokiwali przecząco głową.

— Chociaż tyle. Ja wracam do karczmy, mam piwo do serwowania – powiedział szorstko, kończąc rozmowę.

Wylał jeszcze zawartość garnka na trawę i wyraźnie zdenerwowany zniknął im z oczu. Oboje odetchnęli z ulgą. Freja wgramoliła się do środka i dowleklszy się w końcu do swojego posłania, położyła się na nim ostrożnie. Sulim usiadł obok.

— Jaki Ewald? Jakie złoto? Jakie wilcze doły? – zapytał, lekko zmieszany.

— Ewald to podstarzały były najemnik. Mieszka sam w chatce po drugiej stronie rzeki. Według lokalnych legend ma wór złota. Najwyraźniej hobbystycznie zajmuje się też kopaniem wilczych dołów. Wpadłam wczoraj w jego sidła, kiedy przypadkiem zawędrowałam w tamte okolice.

— Skąd o nim wiesz?

— Cymir mi opowiedział – odparła, wzruszając ramionami.

— Opowiesz mi, co naprawdę dziś się wydarzyło? – zapytał łagodnie.

Kiwnęła twierdząco głową, po czym zamyśliła się na chwilę, szukając słów.

— Zabrzmi to pewnie głupio, ale rano zawędrowałam pod drzwi domu Ewalda. O tak sobie, bez powodu. Ewald jak tylko mnie zobaczył, postanowił natychmiast udzielić mi lekcji fechtunku, o tak dla zabawy. Bez bliżej określonego powodu.

— Owszem, brzmi to głupio.

— Oczywiście pytałam się, dlaczego chce mnie czegośkolwiek uczyć. Odpowiedział, że jak mi się coś nie podoba, to w każdej chwili mogę odejść.

Zrelacjonowała krótko Sulimowi wszystkie zdania, które udało się jej wymienić ze starym najemnikiem. Opisała też pół dnia zbierania siniaków po całym ciele.

— Dziwne to wszystko – podsumowując jej słowa – i nie masz nawet choćby mglistych podejrzeń, dlaczego chce ci pomóc?

— Owszem mam, ale nie są zbyt przekonujące. Od Cymira wiem, że dawno temu zmarła mu młodziutka córka. Szkolił ją sobie na małą wojowniczkę. Może mu ją przypominam?

Rzeczywiście nie był to mocny argument. Kiwnął głową na znak zrozumienia i przeszedł do dalszych pytań.

— Uważasz, że przez parę dni albo tygodni nauczysz się czegośkolwiek? Walki mieczem ludzie uczą się latami.

— Ewald powiedział mi, że mam szansę stosunkowo szybko zacząć prawidłowo wykorzystywać wyrobione już odruchy. Nie zastąpi to straconego doświadczenia, ale może kiedyś uratować mi życie.

— Rozumiem, że chcesz regularnie chodzić na jego lekcję – kontynuował – nie wygodniej byłoby wytłumaczyć to Cymirowi? Co mu powiemy jutro? Albo pojutrze?

— Nie. – odpowiedziała, przecząco kiwając głową – Padłoby wtedy wiele niewygodnych pytań. Trudno też powiedzieć jak skończyłoby się to dla starego Ewalda. Obecnie nikt na niego nie zwraca uwagi i mu najwyraźniej z tym dobrze.

Mogła mieć rację. Mała dziewczynka z drewnianym mieczem rodziła uśmiechy na twarzach. Dorosła kobieta wręcz przeciwnie. Zaraz podniosłby się krzyki o niszczeniu obyczajów i upadku moralnym. Ludzi mogliby ich jeszcze tego samego dnia wygnać z wioski. W miastach poglądy na ten temat były mniej skrajne, choć i tak bardzo

rzadko widywało się kobiety noszące przy sobie broń. Z reguły pochodziły wtedy one zza granicy.

— No to w takim razie, jaki jest plan? – zapytał.

Leżąc, wymownie rozłożyła ręce. Jak dotąd skutecznie udawało się jej spychać ten problem na później. Sulim westchnął i zamyślił się, szukając rozwiązania. Potrzebował czegoś, co zgrabnie łączyłoby się z dzisiejszym kłamstwem. Coś, w co Cymir z łatwością by uwierzył.

— Powiedzmy, że uwiódłby cię jakiś młody mężczyzna z wioski – zaczął powoli – mogłabyś wtedy zniknąć na całe dni i nikogo by to nie dziwiło. Dla dramaturgi mogłabyś wieczorem wracać z sianem we włosach.

— Skąd weźmiemy wiarygodnego kochanka-widmo? Też musiałby zniknąć albo musiałbym nieustannie obok niego się kręcić.

— Bojar. Jest myśliwym, rano wchodzi do lasu, wieczorem wychodzi.

— Ciekawe... – powiedziała, mrużąc oczy – który to?

— Ten, co przedwcześniej po pijaku opowiadał, jak to kochał się z każdą kobietą w wiosce. Powinnaś to pamiętać, był wyjątkowo przy tym głośny. Ktoś mu chyba nawet wtedy przyłożył.

— Tak, pamiętam. Młody, głupi, nawet nie najgorzej wyglądający. Idealny.

— Powiedz mu jakiś komplement, uśmiechnij się, reszta dopowie jego wyobraźnia. Trochę alkoholu i będzie wszystkim opowiadał o waszej wielkiej miłości. Jeżeli dobrze pójdzie, to wykorzysta twoją ciągłą nieobecność do dodania sobie wiarygodności. No i nie chodź więcej w spodniach. Spróbuję też jutro znaleźć ci jakąś bardziej rzucającą się w oczy suknię.

— Jesteś pewien? Może w rzeczywistości Bojar jest całkiem pocziwym człowiekiem?

— Uwierz mi, byłem zmuszony z nim rozmawiać.

Po dłuższej chwili milczenia Freja podniosła się z posłania i spojrzała Sulimowi w oczy.

— Po co to wszystko? Po co te kłamstwa i udawanie. To się dobrze nie skończy.

— To w takim razie co proponujesz?

— Jutro powiedzmy Cymirowi, że opuszczamy wioskę i udajemy się w dalszą podróż do miasta.

— A co z Ewaldem? Przecież chciałaś, by ci uczył. Stąd cały ten problem.

Uśmiechnęła się, wpatrując się w Sulima. Czuła, że nie spodoba się mu jej pomysł.

— Dlatego, zamiast opuszczać wioskę, zrobimy kółko i wprosimy się do chaty Ewalda.

Nie spodobał się.

— Zgodzi się na to? – zapytał po chwili ciszy.

— Och, będzie wprost wniebowzięty! – zrobiła krótką pauzę, po czym dodała – Zapytać przecież nie zaszkodzi, prawda? Szczerze mówiąc, to już dziś proponował mi, bym zamieszkała u niego na czas nauki.

Sulim kaszlnął cicho.

— Eee... jakby to powiedzieć... – zaczął – czy nie zabrzmiało to trochę... bo ja wiem, podejrzenie? Wiesz, samotny mężczyzna o wątpliwej przeszłości bezinteresownie proponuje dużo młodszej od siebie kobiecie, by u niego zamieszkała...

— Nie, mimo wszystko, nie – stwierdziła krótko.

— To, czemu od razu się nie zgodziłaś, tylko w takim stanie wracałaś po nocy do karczmy?

Westchnęła i przewracając oczyma, wskazała na niego palcem. Ach... o tym nie pomyślał. Lekko się zaczerwienił, przypominając sobie, jak desperacko szukał jej po wiosce.

— Dobrze – powiedział po chwili – w takim razie przejdę się do niego jeszcze dziś i zapytam o zdanie.

— Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała, ponownie kładąc się na posłaniu – pójdziemy jutro razem. A teraz jak już ustaliliśmy, co zrobimy, mogę iść spać? Naprawdę jestem zmęczona.

Sulim posiedział jeszcze parę minut w ciszy, po czym bez słowa wstał i opuścił małe pomieszczenie. Wyszedł na zewnątrz karczmy i oparł się o ścianę. Zamyślił się, oddychając rześkim nocnym powietrzem. Pewna część jego umysłu, ta najbardziej racjonalna, sugerowała, że nadszedł czas rozstania się z tą kobietą. Było miło, było nielogicznie, ale teraz już nie potrzebowała jego pomocy. Powinien z rana udać się do miasta, wolny od inkwizycji oraz tajemniczych wydarzeń. Wędrowny muzyk i bard, syn kowala. Zaśmiał się nerwowo, słysząc własne myśli. Postanowił posłuchać się ich, przynajmniej częściowo. Jeżeli Ewald odmówi przyjęcia ich obojga, to odejdzie, zostawiając Freje samą ze starym najemnikiem. Takie rozwiązanie było najlepsze dla niej i dla niego. Do tego było logiczne i jak najbardziej racjonalne. Rzeczywistość miała jednak inne plany. Podczas gdy pogrążony w myślach Sulim rozmyślał nad najbliższą przyszłością, Cymir wyszedł przed karczmę spotkać się ze swoim dobrym kolegą, kupcem. Przyjezdny wyglądał na lekko speszonego i przestraszonego. Poprosił karczmarza by odeszli na bok, z dala od drzwi, chcąc, by nikt nie usłyszał ich rozmowy. Pechowo stanęli parę metrów od rogu, za którym stał Sulim.

— Co cię sprowadza tu w środku nocy? – zapytał zdziwiony karczmarz.

— Ja... eee... tego... przejeżdżałem obok. Tak przejeżdżałem obok. I tak przejeżdżając obok, postanowiłem zobaczyć, co u ciebie – z tonu jego głosu dało się wyczuć wyraźne zdenerwowanie.

— Dobrze się czujesz? – zapytał Cymir, próbując pomimo ciemności przyjrzeć się jego twarzy.

— Tak, tak. Jestem tylko trochę... zmęczony. Wpadłem tylko tak na chwilę się przywitać. – przekonywał, równocześnie będąc niesamowicie nieprzekonywującym – Parę dni temu prosiłeś mnie, bym się dowiedział czegoś o dwóch osobach, które się u ciebie zatrzymały...

— Ach tak, pamiętam – przerwał mu karczmarz, machając ręką – przepraszam za to, jestem najwyraźniej przewrażliwiony. Normalni ludzie, choć trochę dziwni.

— A... ciągle u ciebie są?

Cymir spojrzał na swojego przyjaciela zmartwiony. Nigdy się tak on nie zachowywał. Zazwyczaj opanowany i pewny siebie był teraz strzępkiem nerwów.

— O co chodzi? Czemu się o nich wypytujesz? Dowiedziałeś się czegoś niepokojącego?

— Nie, nie, nie, gdzie tam! – zapewniał – Tak tylko z ciekawości pytam.

— Tak są. Kobieta śpi, mężczyzna pewno zaraz zacznie grać w mojej karczmie na lutni – odpowiedział – choć do środka, posłuchasz go, dam ci piwa, odpoczniesz trochę. Może się wtedy trochę uspokoisz.

— Dziękuję ci... ale może później, muszę teraz jeszcze... coś załatwić.

Sulim nie słuchał dalszej części rozmowy. W przeciwieństwie do karczmarza szybko domyślił się, jaki był cel wizyty kupca. Po cichu opuścił swoje miejsce i wbiegł do pomieszczenia ze śpiącą Freją. Na szczęście nie przebrała się przed snem. Potrząsnął nią.

— Wstawaj – szepnął – znaleźli cię.

Kobieta spojrzała na niego sennym wzrokiem i wykrzywiła usta w grymasie niezrozumienia.

— Zaufaj mi, musimy natychmiast uciekać – kontynuował – teraz nie ma czasu, wytłumaczę po drodze. Zbieraj się szybko. Konia i wszystko przy nim zostawiamy.

— Ale... ale co się... – spojrzała mu w oczy i po krótkiej chwili przytaknęła głową.

Powoli podniosła obolałe ciało z posłania, stając na chwiejnych nogach. Sulim w tym czasie wpychał do sakwy swoje papiery i przybory do pisania. Spod luźnej deski podłogowej wyciągnął worek z pieniędzmi i wrzucił na wierzch. Sakwę zamknął i przymocował do niej lutnię. Podniósł jeszcze oparty o ścianę łuk i podał go Freji. Po chwili byli już na zewnątrz.

— Gdzie idziemy? – zapytała.

Dobre pytanie, nie zdążył się jeszcze nad tym zastanowić. W głowie przeanalizował parę możliwych tras i szybko wybrał jedną z nich. Wybór padł bardziej intuicyjnie niż racjonalnie.

— Prowadź do Ewalda. – powiedział i gdy ruszyli truchtem, zaczął wyjaśniać sytuację – Nasz ulubiony karczmarz najwyraźniej poprosił kogoś spoza wioski, by się o nas popytał. Ten ktoś przed chwilą wrócił. Posłuchałem ich rozmowę. Wypytywał się o nas wyraźnie czymś zdenerwowany.

— To ciągle nic nie musi znaczyć – stwierdziła, krzywiąc się z bólu podczas stawiania szybkich kroków.

Zatrzymała się i obróciła głowę w stronę wjazdu do wioski.

— Wiem, że nie brzmi to przekonująco, ale uwierz mi, musimy uciekać. Wysłali go, by dyskretnie sprawdził, czy ciągle tu jesteśmy.

Zignorowała jego słowa i wskazała palcem na jaśniejsze miejsce w lesie. Przemieszczało się.

— Co to? – zapytał, wyteżając wzrok.

— Pochodnie – odparła cicho.

Przez chwilę w milczeniu przyglądali się, jak pierwszy świetlisty punkt oddzielił się od lasu. Za nim wyszedł kolejny, a za nim kolejny i kolejny. Freja wzięła głęboki oddech i starając się nie zważać na ból, zaczęła biec.

— Coś ty im zrobiła, że chciało się im tu przyjeżdżać? – wydyszał Sulim, biegnąc za nią – Jest ich ponad dwudziestu, to przecież gruba przesada.

Zignorowała pytania. Deszcz przydałby się teraz deszcz. Zmyłby ich ślady. Nie zatrzymując się, spojrzała na niebo. Mogło się udać. Po przekroczeniu mostu stanęła w miejscu. Przez chwilę nie poruszała się, łapiąc oddech, po czym usiadła na ziemi, krzyżując nogi.

— Co robisz? – krzyknął Sulim – nie mamy na to czasu!

— Zamknij się! – odkrzyknęła, zamykając oczy.

Warunki nie były sprzyjające. Mięśnie domagały się niemożliwych ilości tlenu, umysł ciągle był ocieżały po przerwanych śnie. Szalejąca po żyłach adrenalina też nie pomagała. Mimo wszystko musiała spróbować.

— Jeżeli w przeciągu trzech minut nie wstanę na nogi, to musisz mnie ponieść dalej. W prawo wzdłuż rzeki. Przy drewnianej ławie skręć w las.

Nie czekając na odpowiedź, umilkła, tłumiąc wszystkie chwilowo niepotrzebne myśli. Skupiła się na wywierającym nacisk na jej skórze powietrzu. W umyśle skrytalizował się obraz setek kilometrów otaczający jej przestrzeni. Bez najmniejszej chwili wahania wybrała odpowiednie miejsca i wprowadziła w nich lekkie zmiany. Niewielkie, z pozoru losowe, połączenie powietrza delikatnie obniżyły swoją temperaturę. Natura, choć opornie, leniwie ruszyła w niezauważanie innym kierunku.